BIBLIOTEKA WYŻSZA SZK. HANDLU W GDYNI POMOCE NAUKOWE

CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

NR 37 (94) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 14 WRZEŚNIA 1947 R. ROK III

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Na krawędzi życia

Sprawy narodowe Łużyczan obchodzą żywo cały świat słowiański. Walka małego narodu dramatyczna w swych dziejach, wkracza w decydujące stadium. Doba dzisiejsza, chwila po zwycięzeniu Niemiec, ma rozstrzygnąć losy Łużyczan. Nie wystarczy czekać na wyrok sprawiedliwy. Trzeba oń walczyć wszystkim nam, mieszkającym po tej stronie Nysy Łużyckiej, trzeba nam uczyć się rozumieć dzieje, walkę i nadzieję małego narodu. A tymczasem z Łużyc nadchodzą wieści krzepiące...

Mały naród — ogromna walka

Na platformę polityki międzynarodowej nieśmiało wysunęła się sprawa łużycka w czasie, krótko poprzedzającym rozpoczęcie obrad konferencji moskiewskiej. Jugosławia w ramach swych postulatów umieściła punkt następujący: „Rząd Federacyjny Ludowej Republiki Jugosłowiańskiej zwraca szczególną uwagę na zagadnienie Serbów Łużyckich — najmniejszego narodu słowiańskiego, resztki plemion słowiańskich, które dawniej żyły na całym terytorium między Łabą i Odrą. Im trzeba także zagwarantować fundamentalne prawa narodowe i umożliwić swobodny rozwój narodowy."

Wielką popularnością cieszą się na Łużycach sztuki mówiące o niedoli robotnika lub chłopa. Łużyczanie, naród ludzi gnębionych i wykorzystywanych, naród robotników kopalnianych i fabrycznych oraz chłopów, ukazuje w takim teatrze swój tragiczny los. Oto fragment ze sztuki Wjeli „Pan i robotnik" w ochotniczym teatrze łużyckim

Istotną szczególnie była strona prawna tego sformułowania. Oficjalne wysunięcie problemu konieczności odseparowania Łużyc od Niemiec, niezależnie od formy praktycznej wykonania, nadało głębsze znaczenie memorandum „Domowiny" z marca 1947 r., przedłożonego konferencji w Moskwie („Memorandum Serbo-Łużyczan przedłożone konferencji Czterech Ministrów Spraw Zagranicznych w Moskwie", marzec 1947). Stwierdzić należy wagę polityczną ogłoszenia go w tym właśnie momencie. Jest to dowód jeszcze jeden wzrastającej dojrzałości politycznej kierowników narodu łużyckiego.

Przykładem innym tej dojrzałości i trzeźwej, obiektywnej oceny rzeczywistości niech będzie ustęp, który tu przytoczę z wydanej przed kilku tygodniami króciutkiej pracy Vaclava Maczaka pt.: „Lužickosrbsky problem". W tłumaczeniu ustęp ten brzmi następująco:

> ...„Gdyby nad nami nie było wojsk okupacyjnych radzieckich, dawno byśmy już nie żyli. Sowiety mają zaufanie do Serbo-Łużyczan, ale trudno je było zdobyć i wykazać fałsz niemieckiej propagandy, sugerującej stale, że jesteśmy faszystami, szowinistami i kollaboracjonistami, pragnącymi tylko swojej wolności. Wiele musieliśmy zebrać dokumentów i materiałów na dowód, że pracowaliśmy nad zbliżeniem i porozumieniem między demokracją niemiecką a Serbołużyczanami na Łużycach, niestety na próżno. Niemcy są temu stale przeciwni i nie posiadają zrozumienia dla sowieckich zasad demokratycznych, tym mniej zaś dla współpracy z Serbołużyczanami, którzy współdziałają otwarcie ze swymi słowiańskimi braćmi.. Serbołużyczanie żądają przeto międzynarodowych gwarancji dla swego narodowego bytu. Serbołużyczanie nie otrzymali dotąd żadnej pomocy od władz niemieckich, od których są uzależnieni, a wszelka pomoc finansowa i gospodarcza przychodzi jedynie od ludu łużyckiego"...

Chrzciny w Slepym odbywają się według starodawnego obyczaju łużyckiego

Trzeba znać fakty z sytuacji obecnej na Łużycach, by pojąć w pełni wagę i sens wyrażonej powyżej opinii. „Domowina", centralny ośrodek pracy Łużyczan na każdym odcinku życia, oparła się w swych posunięciach natury politycznej o władze okupacyjne radzieckie, w popieraniu ich, widząc jedyne antidotum na coraz to wzmagającą się akcję eksterminacyjną Niemiec powojennych. Początkowa nieufna postawa komendantury radzieckiej uległa zasadniczej zmianie po wzięciu przez „Domowinę" udziału w wyborach do parlamentów saskiego i pruskiego po stronie SED. To stanowisko naczelnej organizacji łużyckiej wpłynęło na uzyskanie szerszych uprawnień w dziedzinie rozwoju życia kulturalnego. Natomiast nie nastąpiły mimo zwycięstwa SED na terenach zamieszkałych przez ludność łużycką, posłuszną decyzjom „Domowiny", istotniejsze zmiany w postawie kierownictwa poszczególnych miejscowych organów partii odnośnie wysuwanych przez Łużyczan projektów uzyskania szerszych uprawnień kulturalnych. Zarówno sejm saski w Dreźnie jak i brandenburski w Poczdamie odrzuciły stanowczo w pierwszych miesiącach rb. proponowany przez Łużyczan artykuł do konstytucji, gwarantujący pewne prawa kulturalne. Artykuł ten, proponowany przez Łużyczan członków SED, miał brzmienie następujące:

> „Łużyccy Serbowie (Sorben) jako naród autochtoniczny Łużyc otrzymują pełną wolność polityczną, kulturalną i gospodarczą. Ich rozwój kulturalny i publiczne używanie ich języka stoi pod opieką konstytucji. Prawa te mają być zabezpieczone specjalnymi ustawami".

Podobnie, jak artykuł powyższy, odrzucone zostały przez czynniki niemieckie wszelkie inne skromniejsze usiłowania Łużyczan za pomocą różnych metod jakiejkolwiek współpracy i ułożenia stosunków łużycko-niemieckich.

Stosunek niemiecki do Łużyczan zaostrzył się ostatnio jeszcze bardziej. Znamienne, że Niemcy próbują wpłynąć na postawę Łużyczan za pomocą różnycb metod i różnymi, nieraz całkowicie sprzecznymi ze sobą, środkami argumentacji.

Analizą tych różnych form jednolitej w treści, różnej natomiast w formie postawy niemieckiej w stosunku do Łużyczan warto będzie z kolei zająć się bliżej.

Schicksalsgemeinschaft i Gross-Sudetenland czyli kuszenie szatana

„Domowina" opublikowała ostatnio cały szereg protokołów, sporządzonych przeważnie w okresie przeprowadzania spisu ludności w końcu ubiegłego roku. Wiele z nich jednak mówi też i o stosunkach późniejszych, zimą i wiosną br. Nie jest sprawą istotną omawianie treści tych protokołów. Dotyczą one często spraw poważnych, ale często i błahych, bez głębszego znaczenia. Wszystkie natomiast stanowią kapitalny materiał do studium nad stosunkiem ludności niemieckiej na Łużycach do narodu łużyckiego. Poza nielicznymi wyjątkami cała masa niemiecka ogarnięta jest kompleksem nienawiści do Słowian. Ciągle w rozmowach słyszy się wszelkiego rodzaju pogróżki i przysięgi o zemście. Słowianie, według opinii tu powszechnej, jedynie winni są klęsce Niemiec i ich obecnej sytuacji. Jasne, że najwięcej oburzenia wywołują poczynania narodowe Łużyczan. W urzędach przez zastraszenie i szykany przy załatwianiu interesantów usiłuje się wzbronić używania języka łużyckiego. Miejscowości, w których Łużyczanie są członkami rad gminnych, gorzej są traktowane przez władze wyższe, a za niezadowolenie wśród ludności winę składa się na nieudolność urzędników-Łużyczan.

Szczególnie trudne i przykre są stosunki w szkolnictwie, gdzie Niemcy szykanują język łużycki i dopiero po długich staraniach i pod presją rosyjską zezwalają na naukę w języku łużyckim. **W lutym w powiecie chociebuskim starostwo w porozumieniu z władzami szkolnymi wydało rozkaz zebrania wszelkich druków łużyckich, pragnąc zniszczyć resztki dorobku kulturalnego Łużyczan.**

Nie lepiej przedstawia się sytuacja w dziedzinie wyznaniowej, zarówno w kościele ewangelickim jak i katolickim. Tak np. w Slepym 80 % parafian zwróciło się do urzędu kościelnego Brandenburga o mianowanie łużyckiego pastora. Prośba została odrzucona z uzasadnieniem, że przecie wszyscy Łużyczanie rozumieją po niemiecku. Identycznie motywowała odrzucenie podobnego wniosku katolickiej parafii Kulow ekspozytura arcybiskupstwa wrocławskiego w Zgorzelcu. W innym wypadku wyższy radca kościelny z konsystorza w Dreźnie oświadczył, że duchownym zakazano jak najsurowiej współpracy z „Domowiną", której działalność jest... zdradą stanu.

Linia polityczna niemiecka, z tym samym celem: całkowitej germanizacji Serbo-Łużyczan, dzieli się na oficjalną, dokonywaną najczęściej pod pokrywką partii demokratycznych i na podziemną.

Zniszczona przez Niemców pod koniec minionej wojny siedziba ruchu narodowego łużyckiego — Dom Serbski w Budziszynie, zbudowany ze składek wszystkich Łużyczan. Dziś Dom Serbski ma powstać na nowo

W oficjalnych kołach niemieckich bardzo modnym trickiem politycznym w stosunku do Łużyczan jest odwoływanie się do tak zwanej Schicksalsgemeinschaft; Niemcy podkreślają, że skoro przy dawnym *dobrobycie* Niemiec, dzielili go także i Łużyczanie, powinni dzisiaj ze spokojem i solidarnie przeżywać **klęskę** i połączone z nią trudności, natomiast w żadnym wypadku nie prowadzić rozbijackiej, separatystycznej roboty, choćby nawet w dziedzinie społecznej i kulturalnej.

Nielegalna akcja przeciwsłowiańska, poskromiana ostro przez okupacyjne władze radzieckie, skupia się w tzw. Treubundzie. W związku tym jednoczą się głównie wysiedleńcy z Sudetów czeskich i naszych Ziem Odzyskanych, propagując utworzenie tzw. Gross-Sudentenlandu, w skład którego wchodziłyby wymienione wyżej tereny. Związek ten w nielegalnych ulotkach propagował utworzenie Süddeutsches Freikorps gegen die CSR — korpusu przeciw Czechosłowacji. W stosunku do Łużyczan Treubund zapowiada całkowitą ich zagładę w odwecie za „separatyzm" Domowiny.

Pomiędzy tymi koncepcjami — Schicksalsgemeinschaft i Gross-Sudentenland, w atmosferze ciągłych szykan, gróźb i na każdym kroku stawianych utrudnień, Łużyczanie coraz energiczniej i pomyślniej rozwijają swoją działalność narodową. Trzeba podkreślić, że niemożliwe byłoby to bez odpowiedniego stanowiska radzieckich władz okupacyjnych.

W kręgu trudności gospodarczych

Jedną z zasadniczych bolączek Łużyc jest sprawa tzw. Niemców napływowych, to jest uciekinierów i wysiedleńców z Sudetów i Ziem Odzyskanych. Liczba ich w chwili obecnej sięga około 30 % ludności Łużyc. W niektórych powiatach sytuacja przedstawia się dla pracy narodowej łużyckiej szczególnie tragicznie, ilość bowiem Niemców przybyłych dosięga 80 % ludności. Wiele wsi, dotąd całkowicie zamieszkałych przez Łużyczan, przepełnionych jest obecnie Niemcami. Wszyscy oni zresztą traktują tu swój pobyt jako chwilowy, oczekując rychłego powrotu na Śląsk i Sudety. (!)

Pomnik poety narodowego i działacza Handrija Zejlerja w Łazu. „Swojemu ludowemu piesnjerjej dźakowny serbski lud".

Nasiedlanie terenów łużyckich nie ustaje. Zarówno Drezno jak i Poczdam (Łużyce podzielone są administracyjnie na dwa obwody; Łużyce Górne z Budziszynem podlegają Drezenu; Łużyce Dolne z Chociebużem — Poczdamowi; Łużyczanie słusznie uważają za istotne po rozbiciu państwa pruskiego złączenie obu okręgów w jedną całość administracyjną — Łużyce) noszą się z zamiarem korekty przeprowadzonej przed dwoma laty reformy rolnej, celem stworzenia odpowiednich obiektów dla nowych osiedleńców niemieckich. Nie trzeba dodawać, jakim utrudnieniem w pracy „Domowiny" jest ten napływ niemiecki i jakimi grozi to niebezpieczeństwami przy wysiłkach nad montowaniem i utrwalaniem łużyckiej jedności narodowej.

Życie gospodarcze na Łużycach opanowane jest przez Niemców. Wyjątek stanowią nieliczni łużyccy kupcy prywatni. Sytuacja ich jest trudna ze względu na istniejący tu wyłącznie system przydziałowy towarów. Ponieważ przydzielanie odbywa się za pośrednictwem administracji niemieckiej, kupcy łużyccy są zazwyczaj krzywdzeni. Zarówno łużyckie kupiectwo jak i drobna wytwórczość ograniczone są w działaniu przez brak własnego banku, próbom utworzenia którego administracja niemiecka przeciwstawia się całą siłą. Podobne utrudnienia napotyka w swej pracy zorganizowana przy „Domowinie" spółdzielnia „Łuko". Na tym odcinku udaje się jednak uzyskać pewne sukcesy, jak choćby przykładowo: za poparciem Radz. Wojsk. Administracji uzyskano zezwolenie na przywóz nasion z Czechosłowacji (wiosną br.) w ramach wymiany kompensacyjnej na sumę 20 milionów koron czeskich.

Trzeba uznać za słuszną linię gospodarczą, reprezentowaną przez „Domowinę". Z jednej strony pozostaje ona w zgodzie z nowym modelem struktury gospodarczej kraju, z drugiej ułatwia opór przeciw antyłużyckim posunięciom administracji niemieckiej.

Walka bez pieśni i pieśń o walce

Z chwilą wyzwolenia Łużyc zdziesiątkowana gromada działaczy łużyckich postawiła kwestię oświaty jako warunek sine qua non dalszej pracy. W wyniku usilnych starań liczba nauczycieli łużyckich z kilkunastu w 1945 r. wzrosła obecnie do 300, przeszkalanych w łużyckim Instytucie Nauczycielskim w Radworju. Przy Instytucie istnieje jednocześnie internat. Tylko część nauczycieli uzyskała w inspektoratach szkolnych etaty. Reszta (tym bardziej, że język łużycki jako przedmiot wykładowy jest przeważnie nadobowiązkowy) utrzymuje się albo z własnych funduszów, albo najczęściej z zasiłków „Domowiny". Poza Instytutem Nauczycielskim w Radworju prowadzi się jeszcze tzw. Dom Młodzieży, w którym młodzi Łużyczanie przygotowywani są do pracy społecznej. Trzecim wreszcie ośrodkiem typu społeczno-wychowawczego są regularnie prowadzone przez „Domowinę" kursa młodzieżowe w Budziszynie. Największą trudność w rozwinięciu tej pracy stanowi kwestia... żywnościowa. Przy wszystkich ośrodkach funkcjonują bowiem kuchnie, do których prowiant trzeba zakupywać, na co „Domowina" z trudnością może sobie pozwolić.

Przychylności władz sowieckich zawdzięczać należy duży sukces „Domowiny", którym jest utworzenie pierwszego gimnazjum łużyckiego w Budziszynie. **Z dniem 1 września po raz pierwszy od lat młodzież łużycka ma możność otrzymania wykształcenia średniego we własnym kraju w ojczystym języku.** Niewątpliwie wpłynie to na wzrost liczby szczupłej, a w dodatku przetrzebionej jeszcze przez wojnę, inteligencji łużyckiej.

Do niedawna brak było własnego pisma. Wszelkie odezwy, instrukcje i zawiadomienia ukazywały się tylko jako wydawnictwo powielane. Obecnie trudność ta została przezwyciężona. Za zezwoleniem władz radzieckich, a wbrew oporowi administracji niemieckiej z początkiem lipca począł się ukazywać regularnie tygodnik „Nowa doba — nowiny za serbski lud". Redakcja mieści się w Budziszynie a kierownictwo naczelne objął wybitny pisarz i malarz łużycki Marcin Nowak-Njechorński.

Organizacyjnie „Domowina" rozporządza 11 sekretariatami w głównych powiatach Łużyc. Przy nich grupują się też koła młodzieżowe (na Górnych Łużycach około 60). Kultywowana jest tam muzyka narodowa, śpiew, tworzy się zespoły amatorskie, korzystające z nieskąpego wyboru własnych łużyckich sztuk ludowych. Silny nacisk kładzie się na pracę samokształceniową oraz naukę poprawnego języka.

Jak już wspomnieliśmy praca „Domowiny" hamowana jest przez trudności materialne. Są np. rowery, ale brak jest opon. Jest drzewo, brak piecyków żelaznych do ogrzewania biur „Domowiny", brak znowuż lamp i nafty, koniecznych ze względu na ograniczenia w użytkowaniu prądu. Brak jest z kolei np. pokostu i farb, przez co powstają trudności w zaopatrzeniu wszelkich znaków drogowych w napisy dwujęzyczne (łużycki i niemiecki). Trudności istnieją podobnie w nabywaniu haceli i ufnali, co paraliżuje pracę teatralnych zespołów amatorskich „Domowiny", objeżdżających teren. A praca ich rzeczywiście ma wielkie znaczenie. Średnio na terenie Górnych Łużyc zespoły te dają miesięcznie do 40 przedstawień, wieczorów itp., zarówno po wsiach jak po zakładach przemysłowych z większą ilością robotników-Łużyczan, na kopalniach i w ogóle wszędzie, gdzie tylko żyje duch łużycki.

Do najdonioślejszych jednak sukcesów należy zaliczyć rozpoczętą obecnie budowę nowego „Domu Serbskiego" na miejsce zburzonego i spalonego przez SS najwspanialszego gmachu w Budziszynie, zajmowanego przez „Domowinę". Nowy budynek ma być większy od dawnego i ogniskować się w nim będzie całokształt życia tego małego, hardego narodu słowiańskiego. Kamień węgielny w połączeniu z wielkimi uroczystościami założenia Maticy Serbskiej 24 sierpnia bież. roku. Zbierane są ofiary na budowę. Łużyczanie liczą na pomoc bratnich narodów słowiańskich. Niemcy już dziś próbują pokpiwać — „Zobaczymy co solidarność słowiańska potrafi postawić na nogi. Nasza „Volkssolidarität" już rozdzieliła w Górnych Łużycach dwa miliony marek" (wśród Niemców). Łużyczanie jednak nie wątpią, że pomoc ta, szczególnie w postaci materiałów budowlanych, rychło nadejdzie. Dotychczasowa pomoc udzielana Łużyczanom przez władze okupacyjne radzieckie przez Czechy i inne narody słowiańskie pozwala żywić tę nadzieję.

Hasłem akcji w sprawie budowy nowego „Domu Serbskiego" jak i całej narodowej pracy Łużyczan są dzisiaj słowa:

My budujeme nove Slovanstvo,
my verime v lepsi Slovanstwo!

Eugeniusz Paukszta.

WŁADYSŁAW CHOJNACKI

Polak z Giżycka

Opowieść o Wojciechu Kętrzyńskim, wielkim patronie duchowym Ziem Odzyskanych, to opowieść o zgermanizowanym, który stał się emisariuszem powstańczym i więźniem za polskość, opowieść o uczonym i działaczu narodowym, rewindykatorze polskości i poecie. Przez takich mężów trwaliśmy tu bez przerwy.

W SAMYM sercu ziemi mazurskiej, na przesmyku między jeziorami Mamry i Niegocińskie, rozłożyło się miłe miasteczko o trzech nazwach Lec — Łuczany — Giżycko. Brzmi to trochę paradoksalnie. Pierwsza nazwa najdawniejsza pochodzi być może z niemieckiej Loetzen, przyjęła się pierwotnie i dopiero w końcu ubiegłego wieku zaczęła powoli wypierać ją dźwięczniejsza — Łuczany. Z chwilą powrotu tych ziem do Polski nazwa Łuczany zdobyła sobie pierwszeństwo zwłaszcza wśród ludności napływowej z Wileńszczyzny, dla której brzmi ona bardziej swojsko niż — Giżycko, nazwa nadana przez Komisję Ustalania Nazw Miejscowości w marcu ubiegłego roku. Do chwili obecnej nikt z giżyczan nie chce się z nową nazwą pogodzić, począwszy od starosty, a skończywszy na najskromniejszym obywatelu miasta. Konserwatywna kolej do dziś wydaje bilety drukowane z napisem Łuczany. W rezultacie ludność napływowa jest zdezorientowana, jak o tym choćby świadczy rozmowa zasłyszana przeze mnie w pociągu z Olsztyna do Ełku. Pewna wiejska kobieta pyta się drugiej dokąd jedzie. „Do Giżycka" — słyszy odpowiedź. — „A to szkoda" — mówi pytająca, „bo ja jadę do Łuczan, to byśmy razem jechały".

PIĘKNE I TRUDNE DZIEJE

Pierwotny zamek w Giżycku wybudowali krzyżacy około 1355 roku na miejscu dawnego pruskiego grodziska, już więc w tym czasie jakaś osada tam powstać musiała. **Słyszymy o niej w 1361 roku**, że nosiła nazwę Nowa Wieś i została spalona przez księcia Kiejstuta. **W okresie wojny trzynastoletniej** (1453—1466) ludność Giżycka, podobnie jak i pozostałych osad mazurskich, stanęła po stronie Polski, tylko w zamku uparcie bronili się Krzyżacy, więc po zdobyciu go w 1455 r. został zrównany z ziemią. Pozostały po nim dzisiaj tylko ślady murów na dawnym grodzisku. Zamek barokowy, obecnie istniejący, zbudowany **został w 1560 r.** i składał się pierwotnie z czterech skrzydeł, dziś istnieje tylko jedno, gdzie za Niemców mieściło się muzeum.

Mała osada położona w głębi dzikiej puszczy widać słabo się rozwijała, gdyż otrzymała prawo miejskie **dopiero w 1573 r.** Dużym ciosem dla miasteczka był napad tatarów pod dowództwem hetmana Gosiewskiego w lutym 1657 r. Tatarzy spalili całe miasteczko z wyjątkiem: zamku, ratusza i kościoła, a ludność polską z miasta i okolicy, w liczbie 1000 osób wymordowali bądź popędzili w jasyr. **Mniej więcej od 1600 r. ludność Giżycka była niemal całkowicie polska.**

Wyprawa Gosiewskiego przerwała na zawsze wspaniałą ekspansję ludności polskiej z Mazur pruskich na północ ku morzu. — Ponadto odbiło się to bardzo ujemnie na stosunkach między Mazurami a ich braćmi z Polski. Propaganda niemiecka od stu przeszło lat wyzyskiwała napad tatarski jako pierwszorzędny środek dla pokłócenia Mazurów z Polakami. W każdym kancjonale mazurskim znajduje się dawna pieśń „O wtargnieciu tatarskim Prus **roku 1656"**, zaczynająca się od słów: „Oyczyzno tęskliwa, zaleway się łzami, wspomniycie, Prusacy! co się działo z wami, w roku tysiąc sześć set, pięćdziesiątym szóstym, kiedy różne woyska leżały iak mostem..."

Ledwo po najeździe tatarskim Giżycko się jako tako odbudowało, kiedy w 1686 r. pożar strawił 73 domy wraz z kościołem a w latach 1709—1714 zmarło na zarazę 800 osób. W 1772 r. wybudowano kanał łączący jezioro Niegocińskie z Mazurami. A równo 100 lat po ostatnim pożarze (1786 roku) ogień strawił w mieście 100 domów, co odbiło się niekorzystnie na rozwoju miasta, które w 1817 r. liczy zaledwie 1028 mieszkańców, a jeszcze w 1837 r. tylko 1682. W dniu 11 lipca 1838 r. urodził się w Giżycku (ówczesnym Lecu) Wojciech Kętrzyński, jeden z największych polskich historyków a równocześnie zasłużony badacz i orędownik naszych dzisiejszych Ziem Odzyskanych. W krótkich wspomnieniach zatytułowanych „Z dziejów mojej młodości" nazywa swe rodzinne miasto „szczerze polskim", choć już wtedy dawało się odczuć wynaradawiający wpływ szkoły niemieckiej.

— „Rybacy, powróciwszy z połowu ryb, nawoływali mieszkańców po polsku: „dó ryb, dó ryb!" Przy moście nad kanałem były tablice ostrzegawcze: „pomału", a w lesie miejskim pouczał napis, że to „zagajenie". —

Nawet Niemcy, osadzający się coraz liczniej po miasteczkach mazurskich, musieli wówczas znać choć trochę język polski. Począwszy od 1835 r. skasowano w szkole giżyckiej naukę języka polskiego, co spowodowało znaczny wzrost niemczyzny. Około 1875 r. już tylko ¾ mieszkańców miasta mówiło po polsku, z czego większość przypadała na element robotniczy, przybyły ze wsi. W połowie ubiegłego stulecia wybudowano twierdzę Boyen oraz uporządkowano drogi wodne mazurskie, co niemało przyczyniło się do wzrostu zaludnienia miasta. Od 1848 r. mieszkał w Giżycku Marcin Giersz, który wydawał dla Mazurów kalendarze, książki, a od 1875 r. „Gazetę Lecką". Wprawdzie kalendarze i gazeta wyda-

(Dokończenie na str. 2)

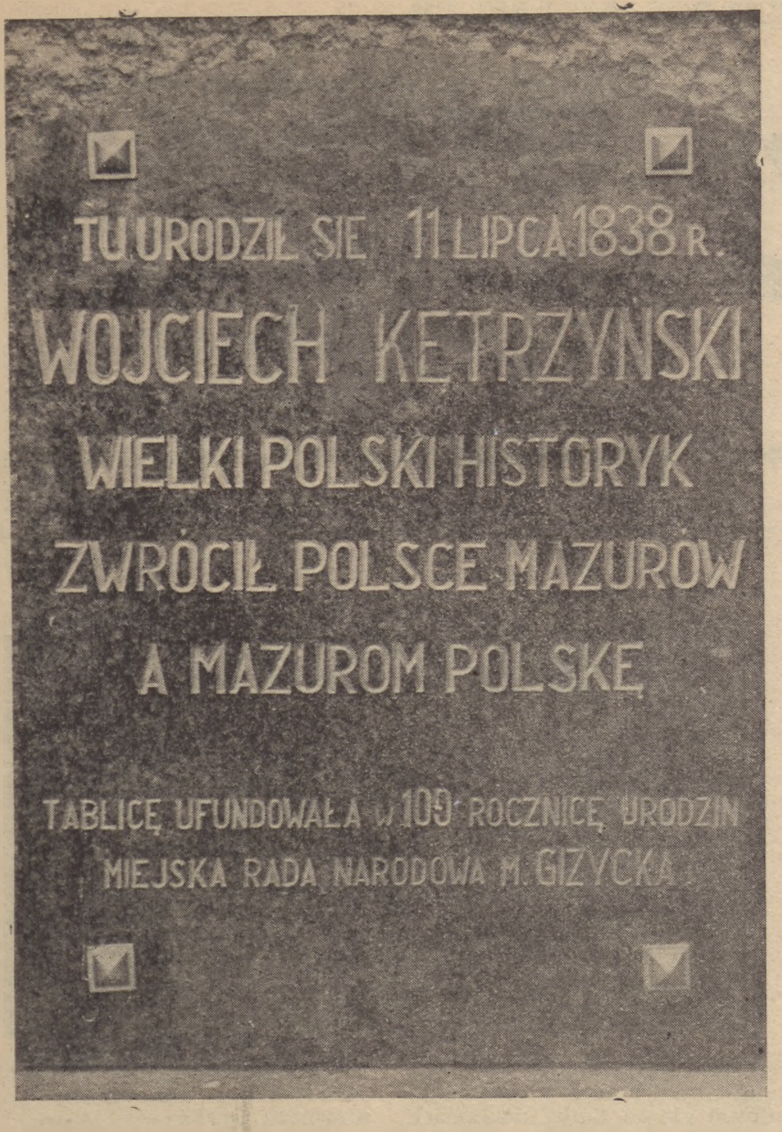
TU URODZIŁ SIĘ 11 LIPCA 1838 r.
WOJCIECH KĘTRZYŃSKI
WIELKI POLSKI HISTORYK
ZWRÓCIŁ POLSCE MAZURÓW
A MAZUROM POLSKĘ
TABLICĘ UFUNDOWAŁA W 109 ROCZNICĘ URODZIN
MIEJSKA RADA NARODOWA M. GIŻYCKA

Polak z Giżycka

(Dokończenie ze str. 1)

wane były w duchu czysto pruskim i najdalej posuniętej lojalności wobec władz, to jednak nie małe odegrały znaczenie dla podtrzymania języka polskiego jako jedyne ówczesne wydawnictwa w języku polskim na Mazurach. Ponadto przechowały nam sporo przykładów ludowej twórczości w postaci wierszy i opowiadań. W 1895 r., na krótko przed śmiercią, zakłada Giersz regionalne towarzystwo „Masovia“, które aż do 1934 r. wydawało niemieckie czasopismo, poświęcone specjalnie przeszłości Ziemi Mazurskiej, pt. „Mitteilungen der Literarischen Gesellschaft Masovia“. Roczniki tego czasopisma przyniosły niezwykle obfity dla nas materiał do poznania przeszłości Mazurów. Na początku obecnego wieku Giżycko dzięki istniejącemu tam gimnazjum, liceum i szkole rybackiej, stało się kuźnią germanizacji dla uczącej się młodzieży polskiej. W czasopiśmie „Masovia“ z 1916 r. ukazało się wspomnienie, opisujące miasto Giżycko w latach 1855—1865. Między innymi autor Niemiec opisuje tam zwyczaje ludowe polskie obchodzone przez Mazurów publicznie w mieście w okresie Bożego Narodzenia, Nowego Roku, Wielkiej Nocy itd. Szczególną uwagę poświęca opisowi wspaniałego pochodu dożynkowego, który dążył ulicami miasta z polską pieśnią „Plon niesiemy, plon...“.

DZISIAJ

Z chwilą rozbudowy połączeń komunikacyjnych wzrosła znacznie liczba mieszkańców Giżycka, przekraczając jeszcze w 1939 r. cyfrę 16.000. Miasto rozbudowano nowocześnie, wzniesiono cały szereg nowych naprawdę reprezentacyjnych gmachów. Z dawnych zabytków pozostało jedynie skrzydło barokowego zamku, gdyż ratusz rozebrano jeszcze w ubiegłym wieku. Kościół ewangelicki, w którym jeszcze 1939 r. odbywały się polskie nabożeństwa, zbudowano w 1822 r. Kościół katolicki, wzniesiony na krótko przed ostatnią wojną w stylu nowoczesnym, szpeci przysadzista wieża, wzorowana na krzyżackich budowlach. Dziś szczęśliwie bohomaz ten został usunięty. Zniszczenia wojenne nie ominęły Giżycka i wynoszą około 40 proc. przy 7.000 mieszkańców. Miasto posiada liceum pedagogiczne, gimnazjum, szkołę rybacką oraz centralny ośrodek sportu wodnego Ligi Morskiej. W chwili obecnej znajduje się tu centrum sportu wodnego i punkt wyjściowy wszystkich wycieczek na jeziora mazurskie. Dużym ułatwieniem dla turystów jest niedawno otwarty hotel turystyczny „Orbis“ i dom wypoczynkowy Skarbowców, nie licząc pomniejszych domów noclegowych. Miasto jest ślicznie położone nad brzegiem jeziora Niegocińskiego, po którym kursuje codziennie statek do Mikołajek — „Mazurskiej Wenecji“. 2 km na północ od Giżycka rozlewa się przepiękne jezioro Mamry, zajmujące wraz z odgałęzieniami 112 km kw. powierzchni. Tu kursuje statek do Węgorzewa, odległego o 28 km, i przejeżdża blisko wyspy Upałty, tej samej wielkości co niszczony obecnie Helgoland, a będąca rajem dla ptaków. Istnieją możliwości wynajęcia w giżyckim ośrodku wodnym motorówek, żaglówek lub kajaków dla amatorów wrażeń i pięknego krajobrazu.

W lipcu br. przypadała 109 rocznica urodzin Wojciecha Kętrzyńskiego i miasto postanowiło uczcić ją wmurowaniem tablicy pamiątkowej w miejscu, gdzie ujrzał światło dzienne oraz urządzić skromną akademię ku jego czci.

SERCE ME ZOSTANIE ZAWSZE POLSKIE

Trudno jest doprawdy ująć w krótkich słowach tak fascynujące życie pomnożyciela polskości — Wojciecha Kętrzyńskiego. Urodzony w tym cudnym mazurskim zakątku z ojca Polaka, pruskiego oficera, matki Niemki, nie znał w dzieciństwie języka polskiego. Ojciec przebywał zawsze poza domem i zdołał już zatracić swoje polskie nazwisko, przybierając niemieckie von Winkler, matka nie znała wcale języka polskiego. W konsekwencji Wojciech i jego siostry Wilhelmina rozumieli wprawdzie coś niecoś po polsku, ale mówić nie umieli. A przecież tradycje polskie były jeszcze w rodzinie ojca żywe, dziadek, Wojciech Kętrzyński, chodził ubrany w kontusze, ojciec lubił zawsze opowiadać o Polakach i nucił czasem „Jeszcze Polska nie zginęła“, a stary sługa ojca, nie znający niemieckiego, służył jeszcze pod Kościuszką. Wojciech był dzieckiem nad wiek rozwiniętym, wcześnie umiał czytać, a gdy w szóstym roku życia poszedł do szkoły, objawiły się u niego zdolności poetyckie — zaczął pisać wiersze po niemiecku. W 1846 r. umarł mu ojciec i oddano go do domu sierot po wojskowych w Poczdamie. Kilkuletni pobyt w napół wojskowej atmosferze odbił się wprawdzie dodatnio na stanie zdrowia wątłego Wojciecha, ale niestety atmosfera ducha pruskiego doprowadziła go do zupełnej utraty świadomości narodowej. Po prostu zapomniał o wczesnym dzieciństwie i swoim polskim pochodzeniu. Na domiar złego wychowywany był w religii ewangelickiej i przestał być katolikiem, namówiony do tego obłudnie przez swoich przełożonych. Wojciech zwrócił w Poczdamie na siebie powszechną uwagę swym wysokim poziomem umysłowym, wiedzą oraz talentem poetyckim.

Wiosną 1853 r. opuścił zakład i wrócił do rodzinnego miasta. Wiele wysiłków i nadludzkiej woli kosztowało go przerobienie 5-letniego kursu nauczania w niecałe 18 miesięcy, co zresztą przypłacił osłabieniem wzroku na zawsze. Wreszcie wstąpił do gimnazjum w Rastemborku, przezwanym obecnie ku jego czci Kętrzynem. Gimnazjum ówczesne, mimo obecności w nim trzech profesorów Polaków oraz większej części uczniów mazurskich było kuźnią niemczyzny. I tym trudniej wyda się nam zrozumiałym fakt, odezwania się w Adalbercie von Winkler polskości, wtedy, gdy była ona przez wszystkich gnębiona, a dwaj nauczyciele Polacy nie przyznawali się nawet do swego pochodzenia. Wiadomość od siostry, która przeglądała papiery pozostałe po ojcu i pisała, że ojciec był Polakiem i nosił polskie nazwisko, zelektryzowała młodego Wojciecha tak silnie, że jak później pisze o sobie „Zaszedł nagle przewrót w umyśle moim i w mym sercu, przypomniałem sobie znów swoje polskie nazwisko, opowiadania ojca i jego życzenie, abym się nauczył po polsku, jednym słowem uczułem, że jestem Polakiem... Odtąd ja i siostra moja **byliśmy Polakami**“. A jak gwałtowny i głęboki był ten przewrót w jego duszy, świadczy najlepiej równocześnie po niemiecku napisany wiersz „Postanowienie“, którego końcowe zwrotki w tłumaczeniu Stanisława Helsztyńskiego brzmią:

Odtąd pieśń moja do boju i walki będzie hasłem,
Do buntu i do powstania; krzykiem się stanie niezgasłym
Do szturmu na potentatów którzy mi kraj zabrali,
Zwycięską ongi Polskę w spiżowy łańcuch skowali.
Nie pokonacie Jej nigdy! Oto dzień pomsty nadchodzi!
Wywalczymy na nowo wszystko, co ukradł nam zbrodzień.
Choć odjęliście wolność, niezwyciężone w nas męstwo!
I nie złamana jest Polska, chociaż dotknięta klęską!

I nic go już nigdy nie odwiodło od polskości, ani drwiny kolegów czy koleżanek, zimna obojętność profesorów-Polaków, czy po ukończeniu uniwersytetu królewieckiego i doktoryzowaniu się, miraż dobrej posady rządowej za cenę wyrzeczenia się swego polskiego nazwiska, które jeszcze podczas studiów w Królewcu musiano mu urzędowo dołączyć do niemieckiego. Polskość rozpiera jego duszę, walczy o nią na każdym kroku i zamartwia się stale, że tak trudno przychodzi mu opanowanie polskiego języka, tym bardziej, że w pierwszych klasach gimnazjum potrafił czytać biblię hebrajską w oryginale. Koledzy uniwersyteccy widzieli go ciągle ze słownikiem niemiecko-polskim, uczącego się słówek na pamięć. Czasami ogarnia go smutek, ból targa jego duszę, jak to można wyczuć w wierszu pt. „W ojczystym kraju“:

Żebym zaś zapomniał całkiem kraju,
Kraju, co mnie wydał na świat, wiarę
Ojców mi wydarto z serca, mowę
Z ust wyrwano, każąc mi przeklinać
Kraj, co był ojczyzną mą od dziecka.
Wiarę, mowę ukraść mi mogliście,
Ale serca z piersi nie wyrwiecie!
Serce me zostanie zawsze polskie!

EMISARIUSZ I WIĘZIEŃ

Dzięki zaznajomieniu się ze studentami-Polakami pochodzącymi z Pomorza, jacy wówczas licznie studiowali w Królewcu, poczucie narodowe skrystalizowało się w Kętrzyńskim zupełnie, odnalazł za pośrednictwem kolegów swoich krewnych, stryja w Tucholi i wuja w Kościerzynie, a w 1862 roku odwiedził w Warszawie swoją ciotkę. Wybuch powstania styczniowego zastał go jeszcze na studiach w Królewcu, gdzie studenci-Polacy pragnęli dopomóc w jakikolwiek sposób sprawie narodowej. Kętrzyński podjął się niebezpiecznej misji przewiezienia tajnych papierów rządu francuskiego na Litwę. Przeszło tydzień spędził wówczas w Wilnie w okresie największego terroru Murawiewa Wieszatela. Następnie nawiązał kontakt z grupą powstańców koło Myszyńca i był u nich w obozie. Wreszcie przy konwojowaniu znacznego transportu broni został przez policję pruską aresztowany. Półtora roku odsiedział w więzieniu berlińskim, czekając na rozprawę, w wyniku której skazano go jeszcze na rok pobytu w twierdzy kłodzkiej. Po uwolnieniu 1866 r. doktoryzował się z łacińskiej rozprawy o wojnach Bolesława Chrobrego z Henrykiem II, potem był przez dwa lata kierownikiem biblioteki kórnickiej, a od 1873 r. osiadł na stałe we Lwowie w Ossolineum. Początkowo sekretarz, później kustosz, otrzymał w 1876 r. największą godność dyrektora zakładu. I na tym stanowisku wytrwał aż do swej śmierci w dniu 15 stycznia 1918 r.

UCZONY

Kętrzyński zasługuje na miano tytana pracy, albowiem umiał podołać wielu obowiązkom, wypływającym z jego stanowiska, a prócz tego zostawił jeszcze wiekopomne dzieła. Jako historyk, obdarzony dużą dozą krytycyzmu, był w różnych dziedzinach a szczególnie w naukach pomocniczych historii pionierem i swymi wnikliwymi badaniami utorował drogę następnemu pokoleniu naukowców. Niestrudzony wydawca źródeł średniowiecznych ułatwił pracę całemu szeregowi uczonych.

Poświęcał wiele uwagi ziemiom słowiańskim zagarniętym niegdyś przez Niemców, i jak twierdzi prof. Kazimierz Tymieniecki, **on właściwie zapoczątkował badania nad Słowianami zachodnimi** i po nim już ta nauka niewiele posunęła się naprzód. Nie obcą Kętrzyńskiemu była przeszłość Śląska, któremu niejedną rozprawę poświęcił. W archiwum szczecińskim był częstym gościem, badając przeszłość Pomorza Zachodniego. Ale najwięcej uwagi i prac swoich poświęcił ziemiom rodzinnym — Prusom i Pomorzu. Wnikliwy paleograf po raz pierwszy zrzucił obłudną maskę zakonu krzyżackiego. wykazując jego matactwa przy fałszowaniu dokumentów. Przebogate archiwum królewskie dostarczyło mu materiału do prac o osadnictwie polskim w Prusach. Wbrew twierdzeniom nauki niemieckiej, że Polacy napłynęli na te ziemie dopiero w drugiej połowie XV w., udowodnił bezspornie obecność Polaków w Prusach już w XIII wieku a osadników Mazowsza i Ziemi Chełmińskiej nazwał pierwszymi kolonizatorami południowej części Prus.

DZIAŁACZ

Lecz nie tylko przeszłość absorbowała jego uwagę, ale ówczesny los Mazurów leżał mu wielce na sercu. Na Mazurach był gościem dość częstym, w Giżycku mieszkała matka wraz z siostrą. Był w stałym kontakcie z tamtejszymi działaczami i na wszystkie strony starał się o pieniądze na wydawanie polskiego pisma, które miało nosić tytuł „Mazur“. Niestety, mimo zdobytych znacznych funduszy, nie mógł zrealizować swego projektu z braku odpowiedniego redaktora. Poza akcją uświadamiania Mazurów o ich polskim pochodzeniu, duży nacisk kładł Kętrzyński na zaznajomienie reszty społeczeństwa z trudnym położeniem tego ludu, i nawoływał do ratowania go od zagłady. Pisał cały szereg artykułów w wielu pismach, niektóre z nich jak np. „O Mazurach“ ukazały się w osobnych książeczkach. Kętrzyńskiemu dziś jeszcze zawdzięczamy wnikliwą charakterystykę tego nieszczęśliwego ludu oraz ciekawe opisy metod i wyników akcji wynaradawiającej. Słusznie więc określono na tablicy pamiątkowej jego wiekopomne zasługi w słowach: **„Zwrócił Polsce Mazurów a Mazurom Polskę“.** W dziedzinie słownictwa miejscowego zasłużył się wielce przez opublikowanie skorowidza polskich nazw w Prusach i na Pomorzu, który opracował z wielkim mozołem w tym celu, aby jak sam pisze: „ci którzy po polsku o Prusach piszą, wiedzieli, jak co się po polsku nazywa“.

REWINDYKATOR POLSKOŚCI

Jeszcze jedna działalność tego pomnożyciela polskości winna, zwłaszcza dziś, zwrócić naszą uwagę — to przywracanie na ojczyzny łono ludzi, których przodkowie utracili polskie poczucie narodowe. Ze wzruszeniem dowiadujemy się, jak w okresie szalejącej walki z polskością na terenie państwa pruskiego tłumnie napływają do niego bądź osobiście bądź listownie, prośby ludzi, niekiedy na wysokich stanowiskach państwowych czy dworskich, o odszukanie dowodów, iż są z pochodzenia Polakami. Tadeusz Czapelski pisze między innymi w swej ciekawej rozprawce p. t. „Rewindykator polskości“ (rocznik Ossolineum 1927/28), którą czytelnikom gorąco polecam: „Z jakąż szlachetną radością okazał (Kętrzyński) list pewnego generała z wykaligrafowanym post scriptum: „barzo dzienkuje“.

Dziś, gdy Ossolineum przeniosło się do Wrocławia, należałoby odgrzebać więcej wiadomości o tej niezwykłej, później wcale przez nas nie kontynuowanej działalności Wojciecha Kętrzyńskiego.

POETA

Ostatnią niezwykle ciekawą spuściznę Kętrzyńskiego — to jego niemieckie wiersze. Ten sam chłopiec, piszący wiersze o miłości, pięknie życia i natury, raz nawet piszący wiersze w duchu pruskiego patriotyzmu, od chwili zasadniczej przemiany śpiewa w niemieckich strofach swe przywiązanie do Polski. Pamiętając ową trudność uczenia się polskiego języka tłumaczy dla innych cały szereg polskich wierszy na niemiecki, jak „Pieśń o ziemi naszej“ W. Pola, „Boże coś Polskę“ i inne wiersze Karpińskiego, Olizarowskiego i innych. Ukazały się one we Lwowie w 1883 r. i uległy natychmiastowej konfiskacie. A policja austriacka za poduszczeniem pruskiej wyłapała wszystkie egzemplarze z wyjątkiem jednego, znajdującego się w posiadaniu autora. W końcu 1938 r. jako w stuletnią rocznicę urodzin Kętrzyńskiego, Ossolineum uczciło pamięć swego długoletniego dyrektora przedrukiem jego zbioru wierszy, noszącej tytuł: „Aus dem Liederbuch eines Germanisierten“, załączając w formie wstępu wspomnianą wyżej rozprawę Czapelskiego. Niestety, ani wiersze jego, ani niezwykła w naszych dziejach postać ich autora, nie wzbudziły prawie żadnego zainteresowania wśród naszego społeczeństwa. Podczas wojny Niemcy szczególnie zaciekle poszukiwali zbiorek poezji i dokładnie zniszczyli cały nakład księgarski, tak że dziś mała ta książeczka stała się unikatem. Już dwukrotnie jej egzemplarze spłonęły na stosie, ale słowa jej żyją:

Wiarę, mowę ukraść mi mogliście,
Ale serca z piersi nie wyrwiecie!
Serce me zostanie zawsze polskie!

Władysław Chojnacki

Co robią Niemcy

Niemcy mówią o Polsce — Węgiel a polityka partyjna Berlina — Problem nienawiści a publicystyka frankfurcka.

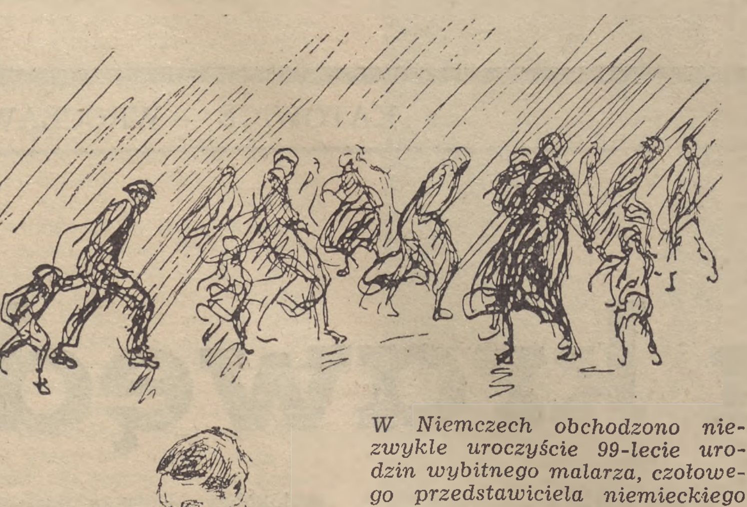

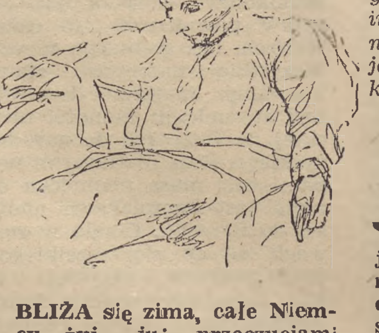

W Niemczech obchodzono niezwykle uroczyście 99-lecie urodzin wybitnego malarza, czołowego przedstawiciela niemieckiego impresjonizmu, Maxa Liebermanna, który zmarł w r. 1935 jako jako 88-letni starzec. Dwa rysunki Liebermanna, u góry „W deszczu“, obok „Śpiąca kobieta“ 1895

ZBLIŻA się zima, całe Niemcy żyją już przeczuciami ostrej zimy. Całe Niemcy równocześnie powtarzają sobie, że tej zimy musi być lepiej, że nie mogą się powtórzyć tragiczne obrazki berlińskie z zimy ubiegłej: ludzie zamarzli na śmierć, stojące fabryki, ponure, zimne mieszkania, kradzieże środków opałowych, zapewniających godzinę ciepłej sytości. Dyskusja w sprawie węgla rozgorzała szczególnie na terenie Berlina. Trzymilionowe miasto pozbawione węgla — to omdlały olbrzym, nie zdolny podnieść ręki, tarasujący drogę ku lepszej przyszłości, opóźniający odbudowę. To obrazkowe porównanie nie ode mnie pochodzi, wyczytałem je w prasie niemieckiej, która węglem zajmuje się coraz poważniej.

CHODZI o węgiel polski. Górnośląskie kopalnie są teraz na ustach wszystkich Niemców we wschodniej części Niemiec. Prasa berlińska zaś doniosła o pierwszych rozmowach, jakie toczą się rzekomo między magistratem miasta Berlina a Polską Misją Wojskową w Berlinie. Piszę dlatego: rzekomo, gdyż dookoła tych rozmów powstała dziwna atmosfera plotek, pochlebstw i złości, nierealnych nadziei. Centrum sprawy tworzy rzekomy list magistratu Berlina do Polskiej Misji Wojskowej, oferujący wymianę pewnych wytworów przemysłowych w zamian za śląski węgiel. Treść tego listu została opublikowana na na łamach dziennika „Der Sozialdemokrat“, gdy zdenerwowani berlińczycy zażądali od radców miejskich dowodów aktywności w sprawie węgla. Tymczasem Polska Misja Wojskowa oświadczyła za pomocą komunikatów w prasie berlińskiej, że żadnego takiego listu nie otrzymała. Słuszne uwagi w tej sprawie publikuje „Tribüne“ z dnia 30 lipca br.: „Cóż czyni nasz miejski urząd? Przede wszystkim czeka cały miesiąc bezczynnie. Kiedy ze strony polskiej pada oświadczenie, że list z 26 czerwca jest jej nieznany, urząd zamiast połączyć się z odpowiednimi czynnikami polskimi, by wyjaśnić tę sprawę — jest bowiem rzeczą zupełnie możliwą, że magistrat Berlina wysłał list (pytanie tylko, jak?), którego Polska Misja Wojskowa nie otrzymała — spieszy się z opublikowaniem pisma, pozostawiając czytelnikowi wniosek, że Polacy są po prostu kłamcami. Każde dziecko zrozumie, że tymi metodami da się osiągnąć wszystko, tylko nie węgiel dla Berlina“.

JEST rzeczą jasną, że pewnym czytelnikom w tej całej sprawie chodziło o wykazanie, jak niedobrzy są ci Polacy, jak nie skorzy do współpracy gospodarczej z Niemcami; chodziło o skompromitowanie SED, która do tej współpracy dąży, a po części także o dalsze podsycanie nastrojów przeciwko sowieckim czynnikom okupacyjnym, które mogły w tych rokowaniach pośredniczyć. Berlińska prasa lewicowa oskarża w związku z tym bardzo ostro pewnych radców miejskich po prostu o sabotaż. Tymczasem zima się zbliża, a węgla jak nie ma tak nie ma. Kombinacje niemieckie na temat, co by tu Polsce w zamian za węgiel oferować, nie ustają, jak również bez ustanku uczeni profesorzy wykazują, jakie możliwości eksportowe węgla Polska posiadała i posiada i jakie stąd dla Niemiec popłynąć by mogły korzyści. Nam zaś wypadłoby się zgodzić całkowicie z wnioskiem „Tribüne“, że tymi metodami osiągnie się wszystko, a więc przede wszystkim usztywnienie polskiego stanowiska, ale węgla nie zdobędzie się na pewno.

GDY ludność Berlina ma takie troski, gdy politycy berlińscy sprawę węgla polskiego, którego ludności tego miasta koniecznie potrzeba, uczynili jeszcze jednym powodem do wzajemnych międzypartyjnych rozgrywek, w zachodnich strefach okupacyjnych nie ustaje kampania antypolska. Zachodzi pewien związek między tą kampanią a stanowiskiem pewnych kół w Berlinie, pełnym niejasności i niezdecydowania. O ile lipcowy zeszyt poważnego periodyku „Stuttgarter Rundschau“ na czoło numeru wysunął wypowiedź „Economista“ krytykującą odwoływanie się Polski do historii w sprawie Ziem Zachodnich (częściowo cytowała ją w swoim artykule w poprzednim numerze „Odry“ Jadwiga Żylińska), a wstępny ten artykuł opatrzył ironicznie skomentowanym tytułem „Gdzie pan był w roku 1157“, to wydawcy innego poważnego periodyku „Frankfurter Hefte“, Walter Dirks i Eugen Kogon, ten ostatni autor słynnej książki „Der SS-Staat“, pokusił się o własną programową wypowiedź w sprawie polsko-niemieckiej.

FRANKFURTCY publicyści próbują pisać objektywnie. Nie udaje im się to. Zaczynają od niebezpiecznego zdania, które wzbudza nieufność do ich dalszych wywodów. Zdanie to brzmi: „Zdarzyły się straszne rzeczy... na terenach polskich, w Prusach Wschodnich, na Śląsku...“ Straszne rzeczy — to, według autorów, ofensywa sowiecka i następujące po roku 1945 wysiedlania Niemców z tych terenów. Co prawda w toku dalszych wywodów czytamy, że te wszystkie straszne rzeczy nie powinny być przez Niemców traktowane jako zjawiska oderwane w czasie, że mają one swoją genezę, że doświadczenie hitlerowskie powinno stać się kluczem do zrozumienia tych wszystkich wydarzeń, wynikających z zemsty i nienawiści, ale rozumowanie autorów absolutnie nas nie przekonuje. Autorzy uporczywie tłumaczą, że wydarzenia te są przede wszystkim wynikiem zemsty i nienawiści, nawołując później do rozładowywania tych uczuć w narodzie niemieckim, skoro potrafią one wywoływać tak straszliwe zjawiska. Nie wspominają i nie rozumieją zapewne, że grają tu rolę pewne dziejowe konflikty, że przyszła pora na ich uregulowanie i że fragmentem tej regulacji jest właśnie uwalnianie naszych Ziem Zachodnich od ludności niemieckiej. Nie rozumieją tego tak, jak nie rozumieją tego Anglicy, zapładniający swym rozumowaniem niemiecką ironię. Rozładowywanie nienawiści i uczucia zemsty jest słuszne i w pierwszym rzędzie winno ono nastąpić w narodzie niemieckim. Naród polski swego stosunku do Niemiec nie pragnie budować na zemście i nienawiści, a jeśli pojawią się one u jednostek, to znajdzie się u nas sporo odważnych publicystów i pisarzy, którzy będą mieli odwagę tego rodzaju nastawienie napiętnować. Obawiamy się jednak, że rozładowywanie nienawiści i zemsty w Niemczech — to problem o wiele trudniejszy i że nawet programowy artykuł obu autorów z „Frankfurter Hefte“ nie będzie w tym pomocny. Gromady wysiedleńców ze wschodu karmią się nienawiścią do Polaków, propaganda anglosaska, podsycająca nadzieję powrotu, nienawiść tę tylko rozpłomienia, propaganda szeptana zaś ustala nawet terminy zemsty. Enigmatyczne zdanie, kończące artykuł publicystów frankfurckich: „Za Hitlera cierpliwość była ciężarem, dzisiaj jest naszą cnotą“ — ma mieć w intencji autorów znaczenie pozytywne: nie nienawiść, lecz cierpliwość, wszystko bowiem skończy się i zacznie się zgoda sąsiedzka; nie pragniemy zemsty natychmiastowej, lecz cierpliwość wobec „zła“, które jest ostatnią reakcją na hitleryzm i jego zbrodnie — ale na tle nastrojów w Niemczech może być pojęte przez wielu hasło do nowej nienawiści, jako nadzieja do nowej zbrodni.

OTO jeszcze jeden przykład, jak ciężko jest wychowywać Niemców, ile cierpliwości i czasu będzie musiała zużyć Europa, by wychować nowych nauczycieli, publicystów pisarzy, którzy wychowanie narodu niemieckiego odczyszczą z wszelkich kompleksów, postawią na zupełnie nowej platformie zgody między narodami i prawdy. Czy jest to w ogóle wykonalne? Zda się tu koniecznym sięgnięcie do ideologii chrześcijańskiej, która jak wiadomo dotąd w Niemczech nie miała najmniejszego wpływu na wychowanie narodu, na kształcenie polityków, nawet tych, którzy mianowali się politykami ruchu chrześcijańskiego.

Warto na zakończenie tych uwag zacytować zdanie dziennika drezdeńskiego, które oby publicyści frankfurtcy i wszyscy inni myślący Niemcy z zachodnich stref Niemiec zechcieli przyjąć bez uprzedzeń: „Nas Niemców mocno musi wzruszyć fakt, że Polska, choć na skutek wojny Hitlera zupełnie zniszczona i choć ponad 6 milionów Polaków zostało zamordowanych, nie tylko nie zna w stosunku do nas żadnej polityki zemsty ale gotowa nawet jest do przyjaznej współpracy z nowymi demokratycznymi i pokojowymi Niemcami“. **WISZ**

Przegląd prasy niemieckiej

Poniżej zestawiamy dwa fragmenty z gazet berlińskich na temat granicy na Odrze i Nysie łużyckiej. Reportaż ze Zgorzelca przynosi głos rozsądnego Niemca, meldunek z Hannoweru głos ślepca, choć ubranego w szaty kapłańskie, starającego się stworzyć na Śląsku źródło nowych niepokojów. Oto jak różnie oceniana jest w Niemczech rzeczywistość.

DER KURIER

Berlin, (str. ang.

W liście protonotara apostolskiego, prałata d-ra Monse, byłego głównego dziekana w Kłodzku, skierowanym do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, Bevina, a którego treść teraz dopiero stała się znana, skreślono następujące cztery prośby: 1) Oddać cały Śląsk z hrabstwem kłodzkim na Dolnym Śląsku oraz prowincję Górny Śląsk. 2) Gdyby prośba ta nie mogła być spełniona, pozostawić Niemcom tereny na zachód od Odry. 3) Gdyby i ta próba nie mogła być wypełniona, oddać Śląsk pod kontrolę międzynarodową. 4) Jeśli jeszcze nie dałoby się pozytywnie załatwić i tej prośby, stworzyć na Śląsku administrację autonomiczną i przygotować utworzenie samodzielnego Śląska.

(Meldunek z Hannoveru "Vier schlesische Bitten").

Der Abend

Berlin (str. angl.).

Przez ustalenie granicy między Niemcami a Polską na linii Odra—Nysa, Zgorzelec, śląskie miasto przemysłowe, stał się przez noc miastem granicznym. Trzy czwarte miasta, przeciętego Nysą, leżą po stronie niemieckiej. Ta część miasta liczy 94 tysiące mieszkańców, a więc mniej więcej tyle co przed wojną. We wschodniej obecnie polskiej części miasta mieszkało wówczas około 12.500 mieszkańców. Dziś zostało ich tam, jak pisze J. Elliot z „New Jork Herald Tribune“, nie więcej jak 500. Ile Polaków jednak mieszka w odłączonej części miasta, nie wie nikt.

Trzy mosty prowadzące przez Nysę oraz wiadukt kolejowy wysadzone zostały w powietrze, a drewniany most pomocniczy, łączący obie części, pilnowany jest ostro. Na stronie niemieckiej stoi rosyjski posterunek z palcem na spuście pistoletu maszynowego. Po drugiej stronie widać orła polskiego z bieli i czerwieni i napis: Rzeczpospolita Polska. Po obu stronach grube bariery wzbraniają dostępu do mostu... Ruch na nim ogranicza się do tuzina Niemców i Polaków, samych fachowców, gdyż zakłady wodociągowe i elektryczne znajdują się po stronie niemieckiej, gazownia zaś po stronie polskiej. Dla wymiany służby owych przedsiębiorstw publicznych zawarło układ kompensacyjny.

Obecny burmistrz Zgorzelca, Kurt Prenzel (SED), jest starym komunistą i wierzy, że miasto jako posterunek graniczny między Polską a Niemcami ma wielką przyszłość gospodarczą, jeśli znów zaistnieją normalne stosunki między obu krajami. Liczy on się także z tym, że Zgorzelec przejmie dziedzictwo Wrocławia jako śląskie centrum fabryk włókienniczych. Według jego informacji żyje w Zgorzelcu 25 tysięcy wysiedleńców ze wschodu, z których większość pożegnała się z wszelką nadzieją, by kiedykolwiek można było jeszcze wrócić do ich starej ojczyzny, „aczkolwiek chętnie by tam naturalnie wrócili“.

Arthur Ullrich, kierownik SED w Zgorzelcu, na zapytanie, co sądzi o obecnej granicy... odpowiedział: „Nie **widzę żadnego powodu, dla którego obecna granica między Polską a Niemcami miałaby być zmieniona. Zgadzam się zupełnie z Mołotowem, że ponowne przesiedlenie ludności pociągnęło by ciężkie następstwa tak dla Niemiec jak i dla Polski“.**

(Art. „Grenzstadt Görlitz“)

Der Morgen

BERLIN (strefa sowiecka)

Na pierwszy plan wydawnictwa Kurta Descha (Monachium) wysuwa się drugi tom powieści „Die Jeromin-Kinder“ (Dzieci Jeromina) Ernesta Wiecherta, książka, która od czasu Goethego i Gotfryda Kellera należy do najlepszych osiągnięć prozy i która dobitnie charakteryzuje niemieckiego ducha. „Ein verliebtes Leben“ (Zakochane życie) Feliksa Schlaginweita, wspomnienia lekarza monachijskiego, powinna przede wszystkim interesować Monachium i Bawarię, lecz w dzisiejszych czasach niemieckiej izolacji winna się znaleźć również poza granicami Bawarii. Pod jego redakcją ukazuje się cykl procesów historii świata, który otwiera Kurt Pfister, przedstawiając sprawę niebezpiecznie pięknej „Beatrice Cenci“. Inną osobistość, francuskiego poetę Charles Baudelaire, przedstawia „Mein entblösstes Herz“ (Moje obnażone serce). Bardzo precyzyjne są „Arabesken um das ABC“ (Arabeski wokół abc) i „Die Angel des Robinson“ (Wędka Robinsona) pióra Antoniego Schnacka. Pogodne opowiadania tego samego autora, w których cała seria wypadków zależna jest od jednej litery, godna jest najwyższej pochwały. Również jego książka wydana nakładem F. A. Herbig Berlin, przesycona jest tą samą pisarską urodą. „Mädchenmedaillons“ (Medaliony dziewczęce). Życie kobiety biedermajerowskiej opisuje w powieści „Die gut empfohlene Frau“ (Kobieta z protekcją) Fryderyk Michael; Herbert Eulenberg napisał „Nanna und Feuerbach“, książkę o podłożu psychologicznym. Louis Aragon „Die Glocken von Basel“ (Dzwony Bazylii) nakładem J. H. W. Dietz Berlin, przedstawia ideał kobiety na tle obyczajów czasów teraźniejszych. Tematy młodzieżowe porusza szereg pisarzy: książka wspomnień z lat dziecinnych, które nigdy więcej nie wracają, napisana została przez Jana von Hülsen „Der Kleiderschrank“ (Szafa), Walter Bauer napisał „Das Geschenk der Ferne“ (Podarunek dali), wyd. Bertelsman, Gütersloh, przedstawiając w książce tej walkę duchową młodzieży. Fritz von Woedtke daje obraz życia szkolnego internatu w Genewie w swojej książce „Umarmt das Leben“ (Obejmijcie życie), wyd. Steuben, Berlin. Młodzież reprezentuje Werner Wolf-Schrader ze swoim debiutem „Der grüne Ring“ (Zielony pierścień); Wolf-Schrader hołduje współczesnemu symbolizmowi. Dla młodzieży ukazały się ponadto: „Mitann und der Zauberer“ (Mitan i czarodziej), napisana przez Jadwigę Weiss - Sonnenburg, książka z życia Indian, „Bernd und der Fernlastzug“ Hansgüntera Thebis, nakładem Hermann Hübener, Berlin, dalej po raz drugi wydana przez Schmidta w Berlinie książka młodzieżowa, poruszająca wszystkie ciekawe zagadnienia młodzieżowe „Du und Ich“ bajka Ingeborg Wilutzky „Von Elfen und Zwergen“ (O elfach i karzełkach), małe wydanie bajek Grimma nakładem Silva Iserlohn i wreszcie pięknie oprawiona książka dla dzieci „Die heimliche Pfingstfahrt“ (Tajemnicza podróż zielonoświąteczna) napisana przez Gildę Brauen. Każdy, a zatem i młodzież, może czytać biograficzne szkice „Helden ohne Waffen“ (Bohaterowie bez broni), nakładem drukarni w Tempelhof.

Jeszcze kilka słów o poważnych książkach: o przeżyciach w więzieniach i obozach koncentracyjnych opowiada Werner Eggerath w książce p. t. „Nur ein Mensch“ (Tylko człowiek). „Der Hochzeitweg“ (Droga poślubna) Margarete Passon Darge (nakładem Keppler, Baden-Baden) omawia tragiczne zdarzenia ludowe z życia nauczycieli i muzyków w czasach dawniejszych. H. Grandt porusza tragedię naszych czasów w bardzo prosty i wstrząsający sposób w powieści „Im Morgenlicht“ (W świetle poranka). Elżbieta Kawa powieściopisarka religijna, może wzruszyć niejedną zatwardziałą naturę swoją powieścią „Rufen“ (Wołanie), nakładem Morus, Berlin. Wiele pocieszającego materiału myślowego do dyskusji, wybiegającego poza nasze czasy, znajdujemy w książce H. Bürgels „Anfand und Ende“ (Początek i koniec). Książka mówi o życiu i śmierci, teraźniejszości i wieczności (Wyd. Aufbau, Berlin). W przestworza prowadzi nas astronomiczna broszura Roberta Henseliga „Blick durchs Fernrohr“ (Spojrzenie przez teleskop) i „Himmelskalender“ (Kalendarz niebieski, Wyd. Condor Hugo, Langethal, Berlin-Frohnau.)

(Z art. „Neue Bücher noch kein neues Schrifttum“).

WOJCIECH BĄK

Krytyka a pisarze

Jest znanym powszechnie faktem, że stosunki między krytyką a pisarzami rzadko układają się dobrze. Zwykle całą winę zrzuca się na autorów, grzeszących jakąś wyostrzoną podobno wrażliwością i kłótliwością. Oczywiście, że legendę taką stwarzają krytycy. Zwykła obserwacja wskazuje jednak na to, że krytycy na pewno nie są mniej drażliwi od autorów. Często — więcej.

Niewątpliwie istnieją pisarze, oczekujący tylko pochwał. Nie są oni bynajmniej liczniejsi, niż odpowiadający im typ krytyków. Przywara ta nie jest na pewno ograniczona do tzw. twórców. Nie ona jednak — jak mi się wydaje — jest przyczyną stanu napięcia między pisarzami a krytykami. Ilość bowiem rozpieszczonych pisarzy nie jest wielka. Zdecydowana większość jest „normalna“. A jednak i. u tej „normalnej“ większości stosunek do krytyki jest raczej negatywny.

Jakie są tego źródła? Oczywiście nic łatwiejszego niż podejrzewać autorów o próżność, chęć błyszczenia, pragnienie zysku. Jest w tych podejrzeniach pewien procent słuszności. Pisarze są także ludźmi, bynajmniej nie zostali przez Opatrzność uchronieni od wad i ułomności ludzkich. Ale każdy rozumny człowiek bez trudności stwierdzi, że tłumaczenie sobie wszystkiego tymi ułomnościami jest prostactwem. Krytycy przede wszystkim grzeszą oczywiście takimi samymi ułomnościami. Poza tym występuje u nich kilka cech, bardzo antypatycznych, wynikających z szablonu i tradycji krytyki.

Nie jest tajne dla nikogo, że krytyka bynajmniej nie jest nauką — a tym więcej nauką ścisłą. Dzieje krytyki mogłyby wykazać tak straszliwe błędy, popełnione przez krytykę, że wiara w jej nieomylność ma bardzo kruche podstawy. Każdy krytyk z własnego doświadczenia zresztą mógłby przytoczyć niejeden wypadek zmiany zdania o jakimś pisarzu lub poszczególnym jego dziele.

Publiczność czytająca jakże rzadko spotyka się w krytyce ze „współczynnikiem omylności“. Sądy są wypowiadane często z apodyktycznością, które właśnie w związku z bardzo nieokreśloną i pozbawioną ścisłych cech metody naukowej krytyka rażą i dziwią tym głębiej. Że autor, który przecież nie koniecznie musi być nieświadomy cech i granic krytyki, czuje się często urażony „nieomylnością“ krytyka, nie może dziwić.

Krytyka jako „ocena“ implikuje z góry postawę wyższości nad ocenianym utworem. Jest to nieodzownie związane z wydawaniem wszelkich ocen i wypowiadaniem sądów. I jest to niezależne od woli krytyka. Może on jednak w toku wywodów wprowadzić „poprawkę“ kurtuazji, uprzejmości i właściwego stosunku swej osobowości do pisarza.

Doświadczenie często wykazuje, że krytyk nie korzysta z tych możliwości. Jakże rzadki jest wypadek „nie sędziowskiego“ traktowania krytyki. Krytyk, uniesiony możliwościami sądzenia, zapomina o tym, że postawa wyższości jest tylko wynikiem samej funkcji wydawania ocen, a bynajmniej nie musi wcale odpowiadać rzeczywistemu stosunkowi krytyka do pisarza.

Te cechy występują często u najrozumniejszych krytyków. Takich jest jednak stosunkowo mało. Krytyka często jest nadużywana przez ludzi, nie mających wiele wspólnego z uczciwym, po ludzku „obiektywnym“ wypowiadaniem poglądów o utworach sztuki. Podszywają się oni pod miano krytyków, nadużywając dobrej woli i wiary czytelnika. Krytyka prawdziwa mało się od nich separuje i stąd wynika wiele nieporozumień.

Są więc krytycy „trąby“. Funkcja ich polega na nieprzytomnym kadzeniu pewnym ruchom literackim lub pisarzom i dyskredytowaniu nieodpowiedzialnym innych ruchów i pisarzy. Dobrze jest, gdy krytyk „trąba“ jest tylko sekciarzem — gorzej, gdy jest łobuzem. Nie potrzeba wielu wysiłków do tego, żeby ich wyliczyć. Każdy nieuprzedzony czytelnik z łatwością, o ile tylko ma czas i zainteresowanie, może dostrzec wyraźnie ich robotę, moralnie nieodopowiadającą, choć często kryjącą się za osłonki „pseudonaukowości“ metod formalnych. Są krytycy „publicyści“. Dla celów społecznych, czy politycznych są oni gotowi wyprawiać sztuczki o charakterze propagandowym w najgorszym tego słowa znaczeniu. Naturalnie i oni podszywają się pod pozory krytyki. Metodą ich stałą jest „przemilczanie“ niewygodnych autorów. Jest kategoria krytyków „łobuzów“. Ci uprawiają działalność pseudokrytyczną dla samej przyjemności siania zamętu. Nie cofną się oni przed przekręcaniem tekstów, obelgami, szantażem. Są, są ...

A wreszcie istnieje kategoria krytyków „głupich“. Nieudolność ich nie zawsze jest dla każdego jasna. Połapawszy, gdzie się dało, różne terminy, operują nimi w sposób budzący wyłącznie głębokie politowanie. Autor, choć trochę zorientowany w dziedzinie estetyki, może odczuwać tylko pogardę, gdy ich czyta. Ta pogarda oczywiście zwiększa się, gdy oni z nieprawdopodobnym tupetem wygłaszają swoje — pożal się Boże — rewelacje. Robią oni to zaś często. Im większa nieudolność — tym większy tupet i arogancja.

Jest dla mnie jasne, że krytyka jest potrzebna, celowa i dla rozwoju sztuki nieodzowna. Równie jednak jasne jest, że wina negatywnego stosunku pisarzy do krytyki nie obciąża tylko autorów. Każdy pisarz mógłby wyciągnąć ze swoich szpargałów tak przykre i oburzające teksty „krytyczne“, podpisane nieraz nawet cenionymi nazwiskami, że trudno się dziwić, że stosunek jego do krytyki jest często nie sielankowy.

Znałem zresztą osobiście kilku bardzo wybitnych krytyków, którzy jako pisarze zetknęli się z konkretnie istniejącą krytyką. Nie byli oni wcale negatywnie do niej usposobieni niż pisarze. Oczywiście, że nie znaczy to, żeby uważali krytykę jako taką, za niepotrzebną i niecelową. Myśleli o krytyce konkretnie istniejącej. Z taką zaś właśnie — a nie inną — stykają się w swej działalności pisarze. Stykają — i stykali. Tym można sobie wytłumaczyć ten stan napięcia, który zawsze istniał między pisarzami a krytykami.

Że nie osłabł on, jest jasne. Są wszelkie dane na to, by się wzmógł. Musimy pamiętać bowiem, że żadna dziedzina nie miała w obecnej wojnie tyle strat co krytyka. Jeśli do tego dodamy fakt, że wielu poważniejszych krytyków obecnie milczy albo rzadko się odzywa, bez trudności pojmiemy, że szeroko są otwarte bramy dla grafomanii krytycznej i recenzenckiej. Właśnie — grafomanii. Tym większej, im pretensjonalniejszej.

Charakterystyka tej grafomanii, wykazanie jej żałosnego poziomu umysłowego i moralnego wymaga jednak osobnego artykułu.

Wojciech Bąk.

Książka Ziem Odzyskanych

Małłek Karol i Kant Arno: Mazurski Śpiewnik Regionalny. Olsztyn 1947 Nakładem Instytutu Mazurskiego str. 48.

Olsztyn jako obecna stolica historycznej Warmii stał się zarazem i stolicą kulturalną Mazowsza pruskiego, wyrywając palmę pierwszeństwa Ełkowi, Giżycku oraz Szczytnu, gdzie jak wiemy rozwijał się w różnych czasach mazurski ruch kulturalny. Bez przesady też można powiedzieć, że cała akcja kulturalna na ziemiach warmijsko-mazurskich koncentruje się w Olsztynie. Wprawdzie Ełk posiada i dziś jeszcze swoje ambicje, które realizuje przede wszystkim w dziedzinie kultury teatralnej, dzięki zdolnemu i ambitnemu zespołowi tamtejszego teatru, tym niemniej żadne środowisko na ziemiach warmijsko-mazurskich nie może się poszczycić w jednej choćby dziedzinie kultury takimi osiągnięciami, jakie dokonał już Olsztyn. Poza tym ostatnim miastem istnieją wysiłki poszczególnych ośrodków powiatowych, dzięki pracy jednostek, ale akcja ta nie wychodzi niestety poza przeciętność prowincjonalnego miasta powiatowego z środkowej Polski.

Jedną z zasadniczych ról w dziedzinie kulturalnej odgrywa jak wiadomo Instytut Mazurski. Jego pozycje w zakresie wydawniczym wzrastają z miesiąca na miesiąc dzięki ofiarnej pracy grona ludzi. Ten „regionalny zakład społeczno-oświatowy i naukowo-badawczy“, jak głosi podtytuł oficjalny Instytutu Mazurskiego, ma w swym zakresie pracy dwa pola działania. Jeden kierunek to pole pracy społeczno-oświatowej, drugi to praca naukowo-badawcza a ściślej biorąc naukowo-wydawnicza. Dlatego błędem niezwykle krzywdzącym byłoby oceniać wysiłek wydawniczy tej instytucji tylko jednostronnie, Kalendarze dla ludności autochtonicznej, prace Małłka oparte na folklorze ludowym są wydawnictwami służącymi celom społeczno-oświatowym, będące natomiast w druku prace profesorów Rosponda, Wojtkowskiego, Semkowicza oraz dr Mitkowskiego i Chojnackiego są odcinkiem pracy naukowo-wydawniczej, realizowanej przez Instytut Mazurski.

Wydany obecnie „Mazurski Śpiewnik Regionalny“ należy do tej pierwszej grupy wydawnictw. Służyć ma on celom społeczno-oświatowym w najszerszym tego słowa znaczeniu, bo ma za zadanie popularyzować mazurską pieśń ludową. Wobec ogromnych zniszczeń materialnych i duchowych, jakie poczyniła ostatnia wojna na Mazowszu pruskim — śpiewnik Małłka ma nie tylko zaznajomić ludność napływawą z mazurską pieśnią — ale w pierwszym rzędzie będzie podtrzymywać umiłowanie pieśni ludowej wśród młodzieży mazurskiej. Zachodzi bowiem obawa, że pieśni te zaginą wraz z odchodzącą z tego świata „starą generacją“. Słusznie pisze we wstępie do niniejszego tomiku Karol Małłek przypominając, że wprawdzie przetrwał „Kancjonał“ Wasiańskiego — zawiera on jednak niewiele pieśni ludowych i to — bez nut. Wojciech Kętrzyński w swoim zbiorku pieśni mazurskich — zresztą dawno już wyczerpanym — również nut nie zamieścił. Pieśni ludowe spisane przez Gizewiusza, drukowane w „Przyjacielu Ludu“ w Lesznie Wielkopolskim przed stu laty, należą do rzadkości, a zamieszczone w dziele Kolberga są bardzo trudno dostępne. Wyczerpane jest „Wesele Mazurskie“, do rzadkości należą przedwojenne roczniki „Kalendarza dla Mazurów“, które pewną liczbę pieśni ludowych zamieściły. Słuszną przeto było rzeczą wydać po raz drugi zbiór pieśni ludowych mazurskich w ich obecnej postaci, mając na uwadze względy wyłuszczone powyżej. Instytut Mazurski wydając „Mazurski Śpiewnik Regionalny“ w układzie Karola Małłka i Arno Kanta realizuje w dalszym ciągu swą jasną linię społeczno-oświatową, na odcinku wydawniczym znaczoną już poprzednio paroma wartościowymi publikacjami.

Jerzy Antoniewicz.

Listy, uwagi i sprawozdania

Pasłęk nad Pasłęką

Pasłęk, lato 1947.

Sygnał syreny Ochotniczej Straży Pożarnej w Pasłęku oderwał mnie od obiadu. Pali się! Gdzie? Z dachu domu widoczna była czarna smuga dymu daleko na niebie. Dach jednopiętrowego budynku nie dawał należytej widoczności. Po kilku minutach przyśpieszonego spaceru stanąłem na górze zamkowej, najwyższym wzniesieniu Pasłęka, skąd oko ogarnąć mogło daleko widnokrąg. Hen, na północy, gdzie linia horyzontu zamyka się ciemnym pasem lasów, wzbijał się słup czarnego dymu, wlokąc się w sąsiedztwie obłoków coraz rzadszym i bledszym, długim ogonem. Las się pali? Domysł ten okazał się później nieprawdziwy. Pożar miał miejsce w jednym z okolicznych gospodarstw rolnych.

Niemniej plaga pożarów leśnych nie ominęła Mazurów. Tysiące hektarów drzewostanu zniszczył ogień już tego roku. Kilka większych pożarów powstało przy wypalaniu zachwaszczonych pól, leżących w bezpośredniej bliskości lasu. Na zdrowy rozum za tego rodzaju brak dozoru ktoś powinien ponosić odpowiedzialność. Tym bardziej, że jak chcą złośliwi, pożar — to sprzymierzeniec „lewego“ wyrębu.

Stałem na górze zamkowej obok spalonego zamku pokrzyżackiego. Za czasów niemieckich w murach jego mieścił się sąd wraz z więzieniem. Mury obronne z wąskimi szparami strzelnic utrzymały się, mimo upływu kilku wieków i przewiania niejednej zawieruchy wojennej przez kraj mazurski. Opasła, wypalona baszta wznosi się nad wszystkie budynki miasta, strasząc opowieściami cieniów pruskich ofiar.

Zamiast zamku stoi ogorzały wrak. Ze ścian wiatr zrywa płaty cegieł i tynku. W niezawalonych, parterowych izbach o masywnych stropach świeci kurz, przeciąg rozwiewa arkusze urzędowych dokumentów niemieckiego sądu, deptane butami zwiedzających. Niezbadane pozostały podziemne kazamaty, którymi — podobno — przedostać się można daleko poza miasto i w których — podobno — kości dawnych władców i ich ofiar skarbów strzec mają.

Za murami zamku, od strony wschodniej, północnej i zachodniej, kilkumetrowa płaszczyzna pozwala na spacer i oglądanie letniego pejzażu. Rok temu można tutaj było jeszcze spocząć wygodnie. Dzisiaj po ławkach zostały tylko kołki, wkopane w ziemię lub cementowe podstawy. Drewno zniknęło w czasie długiej, ostatniej zimy.

Ślady szabrowników spotyka się na każdym kroku. Przy ulicy Krasickiego zachowała się Brama Miejska, część dawnych murów obronnych, będąca ongiś wejściem do warownego grodu. W salach na dwu piętrach mieściło się muzeum, którego resztki nierozkradzionych zbiorów władze polskie przejęły pod swoją opiekę. W dniu, w którym pragnąłem je zwiedzić, zastałem drzwi wejściowe wyłamane. Wycofałem się prędko przed „otwartymi“ drzwiami.

Jak wiele miast, leżących na szlakach wojny, Pasłęk zniszczony jest prawie w połowie. Według statystyki niemieckiej Pasłęk (dawna nazwa Preussisch-Holland) liczył przed wojną 6400 mieszkańców. Obecnie mieszka tu około 4800 ludzi. Mieszkańcy żyją z rolniczej okolicy, która zaludnia się coraz bardziej przybyszami z Centralnej Polski. Codziennie od stacji kolejowej jadą wozy załadowane dobytkiem, obok których kroczy inwentarz żywy nowego osadnika. Poza miastem spotyka się odbudowane domostwa, zaorane i obsiane pola. W ub. roku stan uprawionej ziemi w powiecie wynosił zaledwie 10 %, a w bieżącym podniósł się do 45 %. Są duże braki w sile pociągowej i bydle. W r. 1937 powiat pasłęcki posiadał 13.567 koni i 37.406 sztuk bydła rogatego, dziś zaledwie 25% koni i około 15—20 % krów.

Powiat pasłęcki, jak i całe byłe Prusy Wschodnie, był domeną wielkich majątków junkierskich. Stosunek 3:4 mówi sam za siebie. Ilościowo stan ten tak się przedstawiał:

do	5 ha	— 760	gospodarstw
„	20 „	— 1211	„
„	100 „	— 684	„
ponad	100 „	— 108	„

Według niemieckich pomiarów powiat zajmował równe 85.833 ha, z czego około 25 % powierzchni zajmują lasy, reszta ziemie uprawne, łąki itp. W 1933 r. mieszkało tu 37.107 ludzi, co stanowiło 53,2 osób na kilometr kwadratowy. Od r. 1880 ludność powiatu zmniejszyła się o 8000 mieszkańców, co stanowi jaskrawy przyczynek do szumnej polityki populacyjnej Niemiec na Wschodzie.

Władysław Lubnaar.

Odwiedziny w warsztatach

Gdańsk, wrzesień 1947

Wobec dominującej roli, jaką odgrywa sztuka ludowa i przemysł artystyczny na Międzynarodowych Targach Gdańskich, nie od rzeczy będzie uświadomić sobie, jak wygląda sztuka ludowa u nas w województwie gdańskim.

Ponieważ sztuka ludowa jest zawsze wyrazem regionu, więc na tutejszym terenie obejmującym trzy grupy etniczne: Kaszubów w pow. Kartuskim, Kościerskim, Wejherowskim, Kociewiaków w pow. Starogardzkim i Powiślan w powiecie Sztumskim, te trzy regiony tworzą swoje odrębne kultury folklorystyczne.

Najgłówniejsza z nich i najliczniejsza to grupa Kaszubów. Folklor jej prócz języka powszechnie jeszcze używanego zanika w szybkim tempie i zachować jego kilka żywotnych warsztatów jest staraniem Izby Rzemieślniczej i innych powołanych czynników. Warsztaty owe obejmują następujące wytwórstwo: ceramikę, której głównym przedstawicielem jest warsztat Necla w Chmielnie. poza tym Adamczyka i Meisnera w Kartuzach, **rzeźbę kaszubską** w drzewie, a przedstawicielką jej jest pracownia Demina w Wejherowie, **obróbkę bursztynów** zatrudniającą około 10 zarejestrowanych chałupników w Gdyni i Chylonii, **haft** którego ojczyzną są Wdzydze w pow. Kościerskim, gdzie staruszka żyjąca jeszcze pani Gulgowska stworzyła go i wyuczyła szereg uczennic. Dobrym znawcą tej sztuki jest również nauczyciel we wsi Głodów Lewandowski. Artystycznym wyrobem sieci rybackich mogłoby się zająć kilku biegłych w tym fachu rybaków, sieci mają nie tylko zastosowanie czysto utylitarne do połowów, ale służą również jako ozdoby wnętrz w postaci firanek, kap itp. Rzemiosło metalowe artystyczne i wikliniarstwo to dwie gałęzie zaledwo u nas do życia się budzące.

Ze wszystkich wymienionych wyżej działów bezsprzecznie najautentyczniejszym, najwyżej artystycznie stojącym i najbardziej znanym jest warsztat ceramiczny Necla w Chmielnie. Z okazji bytności czechosłowackich pisarzy na Wybrzeżu, urządzono wycieczkę do Chmielna, aby im pokazać piękno kartuskiej przyrody i ośrodek kaszubskiej sztuki. Malowniczo wznosi się zagroda Necla na wzniesieniu nad jeziorem. Za domem na podwórzu w osobnym budynku mieści się warsztat. Sam majster młody jeszcze, szczupły blondyn o jasnej, sympatycznej twarzy ubrany w długi fartuch płócienny stoi przy warsztacie i zgrabnie doprawia ucho w świeżo wykończonym garnku.

Warsztat jego ma tradycję kilku pokoleń, nauczył się sztuki od ojca, ale niestety jest w tej chwili **jedynym twórcą,** syn jego ma zaledwie kilka lat, a pomocnika odpowiedniego nigdzie znaleźć nie może. Gdyby znalazł, rozbudowałby znacznie warsztat, bo zamówień ma wiele, nie może im podołać. Czeski pisarz Nor chciałby kupić jakiś okaz na pamiątkę i zawiesić go swej żonie, niestety myszkowanie nasze po warsztacie nie przynosi skutku; Necel wyprzedaje tak szybko swoje wyroby, że nawet na próbkę i okrasę warsztatu nie pozostaje mu nic, wiadomo szewc bez butów chodzi, garncarz nie ma w czym obiadu ugotować. Wojna zniszczyła Necla gruntownie, ale znalazł kapitał odpowiedni i wspólników, piec odbudował, na razie taki jak jest, wystarczy mu, choć gdyby warsztat się miał rozwinąć trzeba by myśleć o budowie większego. Gawędząc z nami siada do tokarni, obejmuje ją kolanami, na drewniany czop nakłada kawałek świeżej gliny i w ruch puszcza nogami toczydło, rękoma zaś z nadzwyczajną wprawą formuje garnek. Co chwila zmienia się kształt w naszych oczach: z pękatego wyrasta w górę, to się kurczy, to znów wydłuża, wygina, wciąż kręcąc się zawrotnie. Aniśmy się spostrzegli jak w przeciągu paru minut wyrósł nieomylnie zbudowany kształt, majster koło zatrzymał i chwilę daje mu stwardnieć. Tymczasem prowadzi nas do pieca. Kilku ludzi obok siebie zgarbionych może się w nim pomieścić. Jest czyściutki, schludny jak i cały warsztat. Pokazuje nam, którędy przechodzi płomień i jak zbudowane są przemyślnie kanały. Gdy surowego naczynia w warsztacie narosło już dość, wtedy układa je majster umiejętnie w piecu, a wielka to sztuka wiedzieć jak ustawiać należy, które naczynie bliżej, a które dalej od ognia. Po tym piec zamurowuje i w tajemnicy dokonuje się wielkie dzieło utrwalania kształtu. Oto sztuka stara jak świat, jedna z najstarszych znana ludzkości, a żywa do dziś dnia i nigdy nie wyczerpana w swoich możliwościach form i zdobnictwa.

Ceramika Necla jest bardzo ładnie polewana i barwiona. Motywy jej niewyszukane, pod tym względem Necel nie wykazuje zbyt wiele pomysłowości, ale przynajmniej trzyma się wiernie tradycji ojców i w niczym nie odbiega od stylu kaszubskiego.

Niestety wielką zaporą do dalszego rozwoju warsztatu stanowi trudność w otrzymaniu odpowiednich chemikalii i polew, których w kraju brak.

Drugą gałęzią produkcji przemysłu ludowego, która powinna u nas zająć miejsce przodujące, a niestety rozwój jej postępuje wolno, to obróbka bursztynów. Pomijam państwową fabrykę we Wrzeszczu. bo ta ze sztuką ludową nie ma nic wspólnego, chodzi nam o owe warsztaty chałupnicze już wspomniane. Otóż trudność stanowi tu także brak surowca. Bursztyny wyławiają rybacy z morza. Przy okazji zarzucania sieci na ryby znajdują w nich nie raz dodatkowy plon w postaci mniejszych lub większych kawałków bursztynu, ale surowiec, tym sposobem zdobyty, nie pokrywa zapotrzebowania. Prawdziwa kopalnia bursztynu znajduje się niedaleko stosunkowo, bo w okolicy Królewca. Dopiero po zawarciu odpowiedniego układu handlowego będzie go można od ZSRR sprowadzać w dostatecznej ilości. Drugą bolączką tego rzemiosła jest zatracenie w jego formach wszelkiego rodzimego stylu, a nie wytworzenie nowszych estetyczniejszych wzorów. I tu otwiera się całe pole pracy dla świeżo utworzonego Biura Nadzoru Estetyki Produkcji przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. Zasilenie nowymi wzorami warsztatów przeróbki bursztynów powinno podnieść poziom tej produkcji do rzędu wyrobów przeznaczonych na eksport.

Poza wymienionymi warsztatami sztuki ludowej. które reprezentują sztukę rodzimą, mamy na Wybrzeżu jeszcze inne warsztaty tzw. przemysłu artystycznego głównie tkackie, które założone niedawno rozwijają się pomyślnie. Główną placówką ich to spółdzielnia założona przez Wojew. Komitet Opieki Społecznej i przez niego finansowana dotychczas. Wyrabia ona kilimy i samodziały w Sopocie przy ul. Fiszera. Wyroby spółdzielni już zaprezentowane zostały publiczności na M. T. G. i powinny być ze specjalnym zainteresowaniem oglądane przez mieszkańców Wybrzeża jako pierwsze zaczątki rozwijającego się artystycznego przemysłu tkackiego na naszym terenie.

Amelia Łączyńska.

Plastycy we Wrocławiu

Wrocław, sierpień 1947.

W życiu kulturalnym Wrocławia już od dłuższego czasu przejmujemy się sprawami Filharmonii, Teatru, Opery, chodzimy na „czwartki literackie“, narzekając czasem na ich nudy, a czasem uśmiechając się z satysfakcją — w gruncie rzeczy dumni bardzo, gdy goście z innych miast twierdzą, że imponująca jest ciągłość i frekwencja tych cotygodniowych imprez.

Od kilku miesięcy obserwujemy z pewną dozą złośliwości, czy działalność Związku Zawodowego Literatów ograniczy się tylko do imitacji „czwartków“ — ale dopiero parę tygodni temu otwarta wystawa prac Związku Artystów Plastyków ukazała nam ten dotąd najbardziej „zakonspirowany“ odcinek pracy artystycznej we Wrocławiu.

Oglądając wystawę, pierwsze pytania, jakie się nasuwają, są właśnie te: dlaczego tak późno publiczność wrocławska dowiaduje się o „cechu“ plastyków? i jak wyglądają dzieje i działalność Związku?

U gospodarzy lokalu nie trudno o odpowiedź. I oto zarysowuje się historia bardzo charakterystyczna dla naszego życia na Ziemiach Zachodnich. Formalnie Związek Polskich Artystów Plastyków na Okręg Dolnośląski zawiązał się wiosną 1946. Posiada sekcje w Wałbrzychu, Kłodzku i Jeleniej Górze i skupia około 70 członków. Większość (około 40 osób) znajduje się we Wrocławiu, gdzie naturalnym ośrodkiem skupiającym jest Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych pod kierunkiem dyr. Eugeniusza Gepperta. Na pozór wszystko ładnie. Ale... *Ale dotychczas tylko jeden z malarzy wrocławskich ma mieszkanie z pracownią.* Owszem, jest we Wrocławiu wiele mieszkań z pracowniami, ale są już pozajmowane przez innych lokatorów, którzy nawet pozwoliliby może na korzystanie z pracowni, ale trudno jest pracować nie u siebie, jeżdżąc często z jednego końca miasta na drugi. W pierwszym okresie prace plastyków skupiły się przede wszystkim wokół zorganizowania Szkoły. Szkoła działa sprawnie, młody narybek jest ciekawy — to daje ogromną satysfakcję. Ale właśnie w tym pierwszym okresie zaniedbano wskutek tego sprawy własne.

Konsekwencje praktyczne są takie, że profesorowie Szkoły nie tylko nie mają mieszkań z pracowniami, ale dotychczas nie mają mieszkań w ogóle — gnieżdżąc się w lokalu szkolnym. „Dobrze to literatom i publicystom — mówią plastycy — przycupniecie w jakimś kątku z maszyną do pisania, byle trochę spokoju — i już możecie pracować. Ale nasz warsztat jest znacznie bardziej skomplikowany. Na przykład jeszcze sprawa modeli: w zeszłym roku we Wrocławiu nie można było dostać modelki za żadne pieniądze. W tym roku ostatecznie... za 150 zł za godzinę pozowania. Budżet żadnego z nas tego nie wytrzyma. A znajomi? Wiadomo — raz przyjdą, a dziesięć razy „coś im przeszkodzi“. I to jest od razu odpowiedź na pytanie, dlaczego w tematyce wystawy przeważa martwa natura i pejzaż.“

Przez cały ten rok ciężko było plastykom we Wrocławiu: brak warunków do pracy i niemożność zaznajomienia publiczności wrocławskiej choćby z pracami dawniejszymi, bo Związek nie miał własnego lokalu. Mimo to zorganizowano jednak kilka imprez. Już w maju 1946 odbyła się „gościnna“ wystawa prac Związku Krakowskiego. Lokalu użyczył Zarząd Miejski w Ratuszu. Ale dla członków Związku Wrocławskiego nie było już miejsca. Pierwsza wystawa, w lutym 1947 musiała się odbyć w Wałbrzychu. Minęła bez echa. W kwietniu 1947 Zarząd Miejski znów udzielił lokalu w Ratuszu na zbiorową wystawę prac dyr. Eugeniusza Gepperta. Było to pierwsze, choć wątłe jeszcze bardzo nawiązanie kontaktu z publicznością wrocławską.

A teraz? Teraz chyba i plastycy kończą wreszcie swój „pionierski“ okres. Prezydent miasta, Bronisław Kupczyński, przeznaczył już dom na mieszkania dla profesorów. Są też przewidziane kredyty na ich remont. Będą pieniądze na uporządkowanie lokalu Związku, który znów udało się uzyskać dzięki dobrej woli inż. Józefa Rybickiego, dyrektora Wrocławskiej Dyrekcji Odbudowy, w gmachu Dyrekcji przy ulicy Ofiar Oświęcimskich.

I właśnie w tym lokalu, w czterech niewielkich, ale miłych salkach, od razu, „na gorąco“ jeszcze, zaraz po jego uzyskaniu, zakrywając dziury w podłodze dywanikami — urządzono obecną wystawę. Wystawa skupia około 120 eksponatów z zakresu malarstwa, rysunku, grafiki i rzeźby. (Prawdę mówiąc — rzeźba jest tylko jedna; „miało być więcej — mówią gospodarze— są nawet wymienione w katalogu; ale... jeszcze ciągle drobne „ale“, nie można było dostać gipsu na odlewy“). Te 120 eksponatów reprezentują prace 30 artystów, których, nie kusząc się tymczasem o indywidualną charakterystykę, choćby z nazwisk wymienić należy. Są to: Babecki Stefan, Bielecki Mieczysław, Czajka Dobrosław, Dawska Maria, Dawski Stanisław, Dołżycki Leon, Drabik Ferdynand, Geppert Eugeniusz, Giecewicz Łepkowska Halina, Grabczyk Stanisław, Holler Wiktor, Kamiński Antoni, Kopystyński Stanisław, Krcha Emil, Krokowska-Zastawnik Zofia, Krzetuska Hanna, Krzyżanowski Henryk, Kurczyński Zygmunt, Miśkiewicz Jerzy, Modlibowski Aleksander, Pękalski Stanisław, Pogonowska Wanda, Potyńska Felicja, Reiff Wiktor, Tomaszewski Henryk, Wiktor Bronisław, Will Andrzej, Wojewódzki Stanisław, Wyrożemski Marian, Wąsowicz Kazimierz, Michałowski Borys.

Jak już same nazwiska wskazują, wystawa daje właściwie przekrój ogólnopolski. Nie ma znamion jednolitego stylu, grupy czy kierunku. W motywie pejzażu przeważa Wrocław. I, rzecz charakterystyczna, wśród obrazów danego artysty, gdy widzimy motywy pejzażowe stare i nowe, spostrzega się wyraźną ewolucję formy. Dzieje się to zresztą nie tylko w zakresie pejzażu. Żałować należy, że niewyraźne są daty na obrazach. Ale nawet w wynikach tego pierwszego, trudnego roku, śledzi się, jak nowa rzeczywistość sprowadza nowe artystyczne widzenie. Uderzające (nie tylko zresztą pod tym względem)są prace Emila Krchy, pejzaże Hanny Krzetuskiej.

Takie są dzieje jeszcze jednego „cechu“ artystycznego we Wrocławiu. Takie, jak i dzieje miasta. Długie borykanie się z trudnościami, przeklinanie często w duchu własnych „pionierskich instynktów“ i wreszcie powolna normalizacja stosunków, pozyskanie czynników urzędowych, kontakt z publicznością. Oczywiście, że różne „ale...“, będą się jeszcze długo ciągnęły. Ale... my, wrocławianie, wdzięczni jesteśmy, że informując o życiu kulturalnym miasta, obok wszystkich imprez dotychczasowych, będziemy mogli dodać: „mamy też regularne i interesujące wystawy prac Wrocławskiego Związku Artystów Plastyków“.

Amen — co znaczy dosłownie „niech się tak stanie“, jak przypominał kiedyś w jednym z wierszy plastyk i poeta, Norwid.

Wanda Leopold.

Festiwal Chopinowski w Dusznikach

Duszniki, w sierpniu.

TROCHĘ HISTORII

Ten staroświecki, o klasycyzujących kształtach, budynek pod dachem gontowym, czyż to oficyna polskiego dworu z pierwszej ćwierci XIX wieku, zabłąkana w park uzdrowiskowy? Nie, to stary kurhaus w Dusznikach (dawniej Reinerz), w którym 1826 roku szesnastoletni Frycek wystąpił z pierwszym swym koncertem za granicą. A kiedy już stał się sławny, ówczesny zarząd uzdrowiska upamiętnił ten fakt tablicą z napisem, opiewającym, że w tej sali „Fryderyk Chopin dnia 27 sierpnia 1826 miał swój pierwszy publiczny koncert na rzecz dwojga sierot“. Odtąd w rocznicę orkiestra zdrojowa grała zawsze utwory Chopina.

W roku 1897 Wiktor Magnus z Warszawy wzniósł obok „kurhausu“ obelisk z tablicą marmurową, na której umieszczono profil Chopina w medalionie z brązu, dzieło Romana Lewandowskiego. Łaciński napis w kunsztownych zwrotach oznajmiał, że ten pomnik „Polak Polakowi postawił“. Ten napis kłuł widać w oczy Niemców, bo w roku 1926, w setną rocznicę koncertu usunęli tablicę Magnusa, a zamiast niej umieścili krótki napis: „Friederico Chopino 1826—1897—1926“.

ZESZŁOROCZNY FESTIWAL

Po przyłączeniu Ziem Odzyskanych do Polski Reinerz znalazło się w granicach Rzeczypospolitej i otrzymało nazwę Duszniki. Zarząd Uzdrowisk Dolnośląskich długo zastanawiał się, jak upamiętnić bytność Chopina w Dusznikach. Postanowiono wreszcie urządzać co roku Festiwal Chopinowski. A ponieważ Chopin dochód z koncertu przeznaczył na sieroty, więc dla utrzymania tej tradycji, każdy pianista, koncertujący w tej sali podczas festiwalu, czyni to na rzecz sierot po poległych za Ojczyznę, na rzecz „Orląt“, chłopców Zakładu Braci Szkolnych w Dusznikach.

W roku zeszłym pierwszy Festiwal Chopinowski odbył się w dniach 25-27 sierpnia w nawskroś romantycznej atmosferze intymnego ciepła: Wprowadził nas w nią króciutki obrazek sceniczny Pauliny Czernickiej o „Chopinku w Dusznikach“, obrazek świetnie odegrany w starodawnych kostiumach przez „Orlęta“. Na rzecz tychże Orląt grała sędziwa szopenistka — Rabcewiczowa.

To była introdukcja do właściwej uroczystości, która rozpoczęła się nazajutrz akademią, połączoną z odsłonięciem tablicy pamiątkowej w sali starego kurhauzu. I znowu wśród licznych przemówień, wiążących przeszłość Chopinowską z przyszłością naszej muzyki i Ziem Odzyskanych, — odczyt prof. Jachimeckiego — słup ognisty entuzjazmu, natchniona improwizacja o genialnym muzyku i wspaniałym człowieku.

A wieczorem koncert Rabcewiczowej, urozmaicony w przerwie odczytaniem fragmentów z nieznanych listów Chopina do Delfiny Potockiej. Wreszcie w drugim dniu koncert Sztompki w wielkiej sali nowego Domu Zdrojowego. Ale na tym nie koniec. Urządzono nam jeszcze wspaniałą wycieczkę po okolicach Kłodzka, pokazano sąsiednie zdrojowiska, słynną Bazylikę, Kalwarię i Szopkę w Wambierzycach.

FESTIWAL TEGOROCZNY

Mieliśmy więc prawo się spodziewać, że tegoroczna uroczystość nie tylko dorówna w tonie i nastroju tamtej, ale, że ją przewyższy. Tymczasem, niestety, stało się inaczej. Przede wszystkim program był znacznie uboższy. Podobno był zakrojony na większą skalę, ale kilka numerów odpadło, zdyskwalifikowanych przez Komitet Festiwalu. Selekcja jest rzeczą bardzo pożądaną, zwłaszcza jeżeli chodzi o utwory o Chopinie, należy jednak pamiętać, że taka uroczystość ogólnonarodowa jest hołdem składanym geniuszowi nie tylko przez fachowych muzyków i przysięgłych muzykologów, ale i przez rzesze uświadomionych laików (w danym wypadku literatów), którzy też mają prawo głosu, rzecz prosta we właściwych formach artystycznych i na odpowiednim poziomie. Być może, że na zubożenie programu wpłynęły animozje osobiste. Nie powinny jednak były one zaciążyć nad całokształtem Festiwalu. Poza tym Rabcewiczowa, złożona ciężką chorobą, przyjechać nie mogła, a „Orląt“ też nie było. Odfrunęły na wycieczkę wakacyjną.

A teraz moment drugi: sztywność oficjalna. Jest to objaw bardzo pożądany, że na Festiwal przybyło sporo przedstawicieli wyższych władz, ale na pewno żaden z nich nie czułby się urażony, gdyby środek ciężkości obchodu spoczywał przede wszystkim na Chopinie i na osobach duchowo mu najbliższych. Tymczasem podobno na Festiwal przybyło aż... 6 muzyków. Czyja w tym wina? Może nie otrzymali zaproszeń, a może odstraszyły ich koszty podróży, utrzymania i udziału w Festiwalu. Bo oprócz kwater, i to nieraz dość odległych, Komitet Festiwalu nie mógł swoim gościom niczego zaofiarować.

A teraz rzućmy okiem na program. Festiwal rozpoczął się 16 sierpnia o godz. 17 w sali dawnego kurhauzu, przemianowanego słusznie na Teatr im. Fryderyka Chopina, odczytem prof. ks. dr. Hieronima Feichta o Chopinie. Ks. Feicht jest niewątpliwie poważnym uczonym i czarującym człowiekiem i jego wykład mógł głębiej zainteresować nielicznych obecnych muzykologów, ale czy dużo dał temu tłumowi czcicieli Chopina, którzy przepełnili salę? Co przeciętny intelektualista wie o „akordzie neapolitańskim“? Gdy mu tłumaczą, że to jest „odwrócona seksta“ odpowiada dowcipnie:

— Teraz rozumiem, dlaczego mówią o Chopinie, że dokonał przewrotu w muzyce.

Nutę bardziej dostępną dla laików wprowadziły recytacje poezji. „Chopin“ Wierzyńskiego i „Fortepian Chopina“ Norwida, przemówiły zrozumiale i przekonywująco ustami znakomitego recytatora Henryka Ładosza. Potem nastąpił pierwszy koncert Sztompki.

W niedzielę, dnia 17 sierpnia o godz. 12 nastąpiło uroczyste odsłonięcie na pomniku Chopina tablicy z napisem łacińskim, takim samym, jakim niegdyś fundator Magnus upamiętnił koncert Frycka, wieczorem zaś o godz. 18 w sali koncertowej Domu Zdrojowego odbył się recital H. Sztompki.

Na tym zamknięta została oficjalna część Festiwalu. Nieliczne grono osób spośród jego uczestników i prasy zgromadziło się jeszcze na zebraniu towarzyskim, na którym wskrzeszono na parę godzin niezapomnianą atmosferę zeszłego roku. Stało się to głównie dzięki inicjatywie H. Sztompki, który odczytał głośno zebranym najciekawsze fragmenty z nieogłoszonych jeszcze drukiem listów Chopina do Delfiny Potockiej. Padały co chwilę ważkie wyznania młodziutkiego, bo dwudziestoparoletniego Chopina:

— *Jestem fortepianistą, lepiej robić mało, ale dobrze. Każdy geniusz to rewolucjonista. Polak czystej krwi i brudnej skóry nie jest muzykalny. Aby serce swoje rozpłomienić, Polak swej logiki i rozsądku na podpałkę używa.*

Szkoda, że te fragmenty nie zostały odczytane publicznie, np. w przerwie koncertu. W ten sposób Chopin przemówiłby podwójnie: muzyką i żywym słowem.

Miłą pamiątką dla uczestników Festiwalu stanowił estetycznie wydany program na kredowym papierze z mniej szczęśliwą niż w roku zeszłym okładką (szkic pomnika Chopina dłuta Szymanowskiego), ale za to z pięknym zdjęciem teatru im. Chopina w Dusznikach (fot. Bułhak) i z faksimilem listu Chopina do Wilusia Kolberga z Dusznik.

Stefania Podhorska-Okołów.

CZERNIDŁO szybko schnące do wszelkich skór najlepsze o nazwie

»ORION«

SKŁADNICA FABRYCZNA

Katowice, ul. Starowiejska nr 3

Tel. 354-64 35

Pochwała Przeglądu Zachodniego

Poznański „Przegląd Zachodni“ jest w tej chwili jedynym pismem naukowym, które ogarnia całość problemów Ziem Odzyskanych oraz należących do tego kręgu spraw niemieckich i czeskich. Każdy numer tego pisma, starannie przygotowany stanowi cenną pozycję bibliograficzną w tym dziale oraz nieocenioną pomoc przy rozumieniu i badaniu tych wszystkich spraw. Od szkicu historycznego, którego naukowa forma nie jest przeszkodą nawet dla nieprzygotowanych naukowo czytelników, poprzez bogatą kronikę, recenzje z książek i felieton przewija się wyraźnie linia programowa redakcji, realizowana konsekwentnie i żywo. W sprawach niemieckich „Przegląd Zachodni“ zwraca poszczególną uwagę na historyczną rzeczywistość Niemiec, wśród istnej powodzi taniej na ogół publicystyki niemcoznawczej w prasie polskiej nie zauważoną należycie, nie rozumianą właściwie. (Cenną pod tym względem pomocą będzie także zapowiadana przez Instytut Zachodni historia Niemiec w opracowaniu J. Pajewskiego i K. Tymienieckiego). Sprawy czeskie stały się dla Instytutu Zachodniego a tym samym dla jego organu „Przeglądu Zachodniego“ drugim ważnym odcinkiem zagranicznym; w tym zakresie już instutucja poznańska i jej pismo mają poważne osiągnięcia. I tak jeśli chodzi o wydawnictwa książkowe, to siedem tomów poważnej i nieocenionej „Biblioteki Czeskiej“, z których pierwszy znajduje się już w sprzedaży. Mam wrażenie, że pod tym względem rywalizacja, którą dość późno podjął Instytut Śląski, założywszy przed kilku miesiącami akcję czechosłowacką, może być bardzo cenna, Instytutowi Śląskiemu pomocna ale dla placówki poznańskiej zaawansowanej już w tej pracy dość bez znaczenia.

Nowy numer „Przeglądu Zachodniego“ za lipiec i sierpień otwiera artykuł Pajewskiego „Republika weimarska ogniwem jednego systemu“, wykazujący jasno, że ten okres nie był niczym odrębnym czy nowym w historii Niemiec a kontynuował politycznie Niemcy wilhelmińskie poprzedzając Niemcy hitlerowskie. „W metodzie działania, nie w istocie rzeczy leży różnica“. Wobec wielu oderwanych poglądów, nawet wśród naszych historyków, na ten okres dziejów Niemiec, artykuł, który jest zapewne wyciągiem z książki Pajewskiego, spełnia pożyteczną rolę umiejętnego łączenia zjawisk politycznych. Drugi artykuł z ilustracjami (przydałoby się ich więcej w „Przeglądzie“) to Witolda Hensla rzecz sprawozdawcza o odkryciach archeologicznych na Hradczynie w Pradze.

Dział materiałów przynosi bardzo ciekawy choć niestety niepełny wykaz prasy polskiej w Niemczech po II wojnie światowej. Autor Ludwik Gomolec wymienia 23 tytuły pism według niego najpoważniejszych, charakteryzuje przyczyny zaniku pism i próby organizowania dziennikarstwa polskiego w Niemczech. Dalej Roman Jakimowicz dyskutuje w sprawie atlasu wczesnohistorycznego Pomorza. Kronikę Niemiec współczesnych w opracowaniu A.J. Kamińskiego chwaliłem już na tym miejscu, tym razem miałbym tylko pretensje do notatek z życia kulturalnego, dość skąpych i niepełnych. Dobrze by było, żeby znowu Aleksander Rogalski z większą porcją uporządkowanych wiadomości zabrał głos na łamach „Przeglądu Zachodniego“. Korespondencje oraz bogaty dział ocen i omówień kończą wartościowy zeszyt pisma, którego waga nie może być dostrzeżona, dopiero w oprawnych tomach na półkach bibliotek naukowych, ale które trzeba czytać i studiować stale.

Jacek Brzym

Tydzień Wrocławia

TEATR:

19—22. 8 w Operze Dolnośląskiej gościnne występy zespołu Teatru Wielkiego w Poznaniu. W programie operetka Franciszka Lehara „Kraina uśmiechu“.

ŻYCIE LITERACKIE:

21.8 odbył się 66-ty Czwartek Literacki Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego, na którym Stanisław Stempowski wygłosił „Gawędę o Antonim Czechowie“ oraz odczytał własny przekład noweli Czechowa pt. „Serdenko“.

PLASTYKA:

W dalszym ciągu otwarta jest wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki Oddziału Wrocławskiego Związku Zawodowego Artystów Plastyków.

Sentencjonalnie

Rozrzutność

Biuro Prasowe „Filmu Polskiego“ ogłosiło konkurs z nagrodami na najlepszą ocenę filmową (recenzję) lub artykuł programowy czy felieton na temat filmu, drukowane w prasie polskiej 1947. I. nagroda — 30.000 zł., II. 20 tysięcy i III. 10 tysięcy. Wszystkie nagrody będą przydzielone bezwarunkowo, głosi komunikat.

Oto w kraju, w którym za działalność naukową wyznacza się nagrody pięćdziesięciotysięczne lub nawet niższe, w którym nie można wydać tomu poezji, bo nie ma nań chętnego wydawcy, w którym nie wydaje się tek naszych rysowników i grafików, bo niema wydawcy ani odbiorcy z pieniędzmi, — przedsiębiorstwo państwowe hojną dłonią wyznacza wysokie nagrody za prace, które — o ile znamy stan naszej publicystyki — nie przyniosą nam specjalnej chluby. Propaganda sprawy filmu to rzecz cenna i potrzebna ale pewne proporcje muszą być przy tym zachowane.

„Ludzie bez zrozumienia proporcji podobni są do wilków, którzy odmierzają przestrzeń według głosu własnego tylko żołądka; innej miary nie znają“.

Montesquie.

„Literaci“

Osławiony tygodnik katowicki „Co tydzień powieść“, którego zlikwidowania domagali się już nawet ministrowie, ogłosił pewien konkurs, do którego jury wchodzą prócz redaktora i sekretarki redakcji (nie boją się plotek, ci młodzi ludzie?) dwaj „literaci“: Alfred Bronowski i Tadeusz Kwaśniewski. Bronowski jest autorem grafomańskich sensacyjnych powieścideł, z których „Gorący ślad“ jest w dobie oszczędności papierowych swego rodzaju skandalem. Obaj ci panowie używają tytułu: literat, choć nie mają do tego prawa, a redakcja „Co tydzień powieść“ toleruje to, chlubi się tym. Uważamy, że czas jest ustanowić prawną ochronę tytułu: literat, jak to jest np. w Czechosłowacji, aby rozmaici kombinatorzy pióra nie podszywali się pod zawód, który jest chlubą kultury każdego narodu.

„Przeminą epoki szarlatanizmu aby Piękno i Prawda były u góry . . .“.

Norwid.

Wśród czasopism

Tegoroczna nagroda literacka „Odrodzenia“ po przyznaniu jej Jarosławowi Iwaszkiewiczowi stała się przedmiotem pewnego rodzaju dyskusji, wyrażającej się przeważnie w „listach do redakcji“ i w krótkich notatkach. Właściwie nie można tego nawet nazwać dyskusją. Są to jakieś sporadyczne i przypadkowe wycieczki pod adresem nagrodzonego pisarza, którego czepiają się różni ludzie w sposób najmniej oczekiwany. Gdyby nie to, że wszyscy niemal ci harcownicy uznają wysoką klasę artyzmu Iwaszkiewicza, można by się zadziwić, że tylu mamy w Polsce przeciwników dobrej prozy. Rzecz jednak leży w tym, że w całej tej gadaninie, w której padają nawet takie słowa, jak „skandal“, nie o artyzm chodzi, nie o walory literackie, lecz o coś zgoła innego, a właściwie nie wiadomo o co. Chyba o robienie złośliwych kawałów.

Zaczęło się chyba od „listu“, wydrukowanego przez pismo, które nagrodę ufundowało, powołało jury i nagrodę udzieliło. W tydzień po ogłoszeniu Iwaszkiewicza drugim z kolei laureatem „Odrodzenia“ tygodnik ten zamieścił list niejakiego dra J. P. Zajączkowskiego, kwestionujący w sposób zasadniczy słuszność orzeczenia jury i dyskwalifikujący Iwaszkiewicza jako pisarza, który nie godzien jest tak wysokiej nagrody. Ostatecznie czytelnikom wolno pisać listy do redakcji, a przyjętym na ogół zwyczajem jest, że redakcja rozsądne listy drukuje. W tym wypadku natomiast sprawa wygląda o tyle gorzej, że plotka w światku literackim określa list „dra J. P. Zajączkowskiego“ jako ni mniej ni więcej tylko tzw. popularnie lipę i to w złośliwej odmianie. Plotka ta twierdzi, że figura nosząca nazwisko „dr. J. P. Zajączkowski“ jest fikcją, stworzoną przez właściciela firmy wydawniczej „Rój“, która przed wojną seriami niemal wydawała przekłady z literatur obcych, sygnowane tym nazwiskiem jako tłumacza. W rzeczywistości nazwisko to miało pokrywać liczne grono tłumaczy, nie mających ani odpowiedniej marki, ani odpowiednich kwalifikacji. Gdyby tak było rzeczywiście, byłaby to dla redakcji „Odrodzenia“ sprawa bardzo przykra i mająca bardzo niemiły posmak. Ponieważ świadczyłaby ona o wprowadzaniu niespotykanych dotychczas w życiu literackim zwyczajów, „Odrodzenie“ winno we własnym interesie i dla prestiżu własnej nagrody literackiej rzecz tę w sposób dostatecznie przekonywający wyjaśnić. W atmosferze, jaka wytworzyła się po liście dra J. P. Zajączkowskiego nie dziwiłbym się, gdyby w przyszłym roku ktoś z zaproszonych do jury odmówił przyjęcia tej godności, i gdyby przyszłoroczny laureat odmówił przyjęcia nagrody, nie chcąc się narażać na podobny kawał, jaki spotkał Iwaszkiewicza.

Najbardziej namiętnie zaprotestował przeciwko laurowi Iwaszkiewicza w liście do redakcji „Dzis i Jutro“, p. Aleksander Bocheński. Pisze on mianowicie: „Wydaje mi się, że przyznanie wielkiej nagrody „Odrodzenia“ Iwaszkiewiczowi było pewnego rodzaju skandalem. Jeszcze większy skandal — to triumfalne pochwały, jakie zbiera za swój wybór sąd konkursowy“. Na szczęście p. Bocheński zdobył się na tyle, że zalicza Iwaszkiewicza do klasyków polskiej prozy współczesnej obok Dąbrowskiej i Nałkowskiej. Boli go jednak to, że Iwaszkiewicz nie dba „o treść i o hasła“. „Utwory Iwaszkiewicza — pisze on — cechuje jakaś ponura, zawzięta beznadziejność. Doprawdy ze wszystkich wyróżnionych pisarzy, on właśnie jest tym, któremu ze względów wychowawczych najmniej rozpowszechnienia życzyć by należało“.

Przykro jest czytać tego rodzaju wypowiedź, stanowiącą dowód jakiegoś wyjątkowego symplactwa, jakiejś organicznej nieudolności w rozumieniu tego, co przekracza granice łatwizny i sentymentalnych schematów. Ale p. Bocheński ma w swoim wystąpieniu jeszcze jeden cel prócz „pognębienia“ Iwaszkiewicza. Chce po prostu po przyjacielsku wyświadczyć niedźwiedzią przysługę Pruszyńskiemu, którego „Trzynaście opowieści“ znalazło się również wśród książek wysuniętych początkowo do nagrody. Tę książkę określa p. Bocheński po prostu jako najlepszą z wydanych po wojnie i jedynie godną tak wysokiej nagrody. Takie rozstrzygnięcie przyniosłoby dopiero zaszczyt sądowi! Byłby to wyrok jasny, nie zaćmiony przez „jakiekolwiek względy i urzędy, przyjaźnie czy antypatie“.

Nie żebym się z Żółkiewskim zgadzał, ale przez złośliwość tylko pozwolę sobie w związku z tym przytoczyć jego notatkę o Pruszyńskim z 34-go n-ru „Kuźnicy“. Protestuje tam Żółkiewski przeciwko głosom, uznającym w książce Pruszyńskiego kontynuację „polskiej tradycji prozatorskiej“. I pisze z niemniejszym od p. Bocheńskiego temperamentem: „Czy polskość stylu to ma być synonim najgorszej, nie inteligentnej i sentymentalnej swady narratorskiej Sienkiewicza, Goetla, Choynowskiego? Umówmy się, nie dyskwalifikujmy polskości. Nie nazywajmy najłatwiejszego, najtańszego stylu współczesnej prozy tradycyjnie polskim. Nie identyfikujmy polskości z obskurantyzmem, tradycyjnością, służbą wszystkim przyzwyczajeniom myślowym i uczuciowym drobnego kołtuna“.

I komu tu wierzyć? Komu miał zaufać sąd nagrody „Odrodzenia“? Przypuszczam, że Żółkiewski po przyznaniu nagrody Pruszyńskiemu użyłby na określenie orzeczenia jury mocniejszego słowa niz „skandal“ p. Bocheńskiego.

Na tej samej stronie, gdzie figuruje owa „nota“ Żółkiewskiego przeciw kołtuństwu, „Kuźnica“ umieściła jednak list, który bez przesady można jako kołtuński określić. Niejaki p. dr. Adam Rogaczewski z Sosnowca (plaga jakaś z tymi doktorami dyskutującymi o nagrodzie) kwestionuje skład jury nagrody i powołując się na Manifest Lipcowy określa nazwiska członków tego jury jako „starej daty ideowej“. Inaczej mówiąc — ludzie, którzy zachowali się po prostu cynicznie. Wyróżnili tylko pisarzy katolickich, nie wysunęli do nagrody ani jednego pisarza lewicy, „klucz polityczny dobrano nieomylnie“. Zdyskwalifikowawszy, niemal jednym pociągnięciem pióra Gołubiewa niejaki p. Rogaczewski rżnie dalej: „jury wyróżniło w tym roku katolicką autorkę poprawnych wypracowań historycznych, katolickiego autora lichych opowiadań wojennych, katolickiego autora ekspresjonistycznej powieści z życia chłopów... Czy nie sądzi Sz. Pan Redaktor, że nawet w cyniźmie politycznym jest miejsce na dobry gust?“ Przy tym wszystkim ów niejaki p. Rogaczewski ma czelność podpisywać się jako „czytelnik stroskany o dobrą przyszłość literatury polskiej“. Czy nie uważa Szan. Czytelnik, że w bezczelności i chamstwie też należy zachować pewną miarę? Mnie się wydaje, że tak. Tym więcej, że p. Rogaczewski przyczepił się tylko do prof. Pigonia jako „poczciwego endeka“.

W każdym razie członkom sądu nagrody „Odrodzenia“ należą się w tym roku wyrazy współczucia. Przyczepił się do nich jeszcze bowiem i „Tygodnik Powszechny“ notatką p. „jas“, który wnosi pretensje, że w nagrodzonych książkach Iwaszkiewicza znajdują się opowiadania napisane jeszcze przed wojną, że wobec tego nie nagrodzono „najwybitniejszej pozycji literackiej *ubiegłego roku*“, jak brzmi orzeczenie jury. Trudno, panie „jas“, nie każdy literat kropi w ciągu roku tyle wierszy, co pan. Niektórzy, bardziej rozsądni, nawet unikają tej metody.

Całość „dyskusji“ o nagrodzie „Odrodzenia“ dałoby się określić w ten sposób, że pisma chwalą i aprobują decyzję jury od frontu, krytykują i dyskwalifikują ją od kuchni; wypisują peany na cześć Iwaszkiewicza wewnątrz numeru, zgłaszają zastrzeżenia w listach do redakcji i notatkach. I to katolicy sobie, marksiści sobie . . .

Na zakończenie z ciekawostek śląskich zanotować trzeba doroczne, wchodzące już w tradycję uroczystości szopenowskie w Dusznikach, gdzie odbyły się one w dniach od 15 do 17 sierpnia. Złożyły się na nie przede wszystkim koncerty, które powtarzać się będą co roku dla upamiętnienia pobytu Chopina w tym uzdrowisku i jego koncertów danych tam w dniach 16 i 17 sierpnia 1826 r. Doniósł o tym dziennik wrocławski „Słowo Polskie“, podczas gdy zainteresowanie prasy centralnej Polski tym wydarzeniem kulturalnym było raczej bardzo mizerne. „Słowo Polskie“ poświęciło też Chopinowi swój dodatek niedzielny z dnia 17 VIII. Wypełniły go trzy popularne i sympatycznie napisane artykuły o Chopinie (jeden o jego muzyce, dwa biograficzne) oraz fragmenty wiersza Norwida i piękny wiersz Stanisława Balińskiego „Ojczyzna Chopina“. Dodatek obliczony na przeciętnego i nie wykształconego muzycznie czytelnika w sposób umiejętny przybliża mu twórczość i postać wielkiego muzyka. Dolny Śląsk zaczyna tworzyć *i pielęgnować* swoje tradycje kulturalne. To jest cenne i budzi uznanie. *(ki)*

W znaku Młodej Polski

Na kilka lat przed wojną pojawiła się na scenie Teatru Śląskiego jedna z najsławniejszych w Polsce artystek dramatycznych, Wanda Siemaszkowa. Pojawiła się najpierw jako gość, lecz wkrótce rozeszła się wiadomość, że ma wejść w skład zespołu sceny katowickiej. I rzeczywiście Siemaszkowa związała się na kilka sezonów z Teatrem Śląskim; na jego deskach kreowała szereg ról, w tym dwie czy trzy poważniejsze, tu opracowała inscenizację „Wesela“ Wyspiańskiego, obchodziła wreszcie w teatrze, który przybrał sobie imię poety, pięćdziesięciolecie swojej pracy aktorskiej. Z katowickim zespołem też ona, mistrzyni w mówieniu polskiego słowa i wiersza, wyjeżdżała szereg razy w ciągu tych kilku lat na Śląsk Opolski.

Z ówczesnych bywalców Teatru Śląskiego zapewne niewielu tylko zdawało sobie w pełni sprawę, kim była ta nimbem sławy z przeszłych lat otoczona aktorka. Faktycznie, uczestnicząc ciągle i żywo we współczesnej rzeczywistości, należała ona już wtedy do historii polskiego teatru. Co więcej, jej imię związało się nierozerwalnie z historią polskiej literatury dramatycznej jednego okresu: okresu Młodej Polski. Takie kreacje Siemaszkowej, jak Maria w „Warszawiance“, Młynarka w „Zaczarowanym Kole“, Szalona Julka w sztuce Kisielewskiego „W sieci“, to były nie tylko głośne przez długie lata triumfy aktorskie; to były spełnienia poetyckich wizji i literackich zamierzeń, nacechowane tak wyjątkową sugestywnością i siłą wyrazu, że zrosły się one z obrazami i przeżyciami samych dzieł w świadomości ówczesnej generacji.

Pokolenia młodsze nie mogły już oglądać wszystkich kreacji artystki z okresu Młodej Polski, ale widząc inne, odtwarzane przez nią role, poznawało rysy jej aktorskiej wielkości. Wielkość ta nie podlegała nigdy na wycyzelowaniu roli we wszystkich szczególikach, na zimnym kunszcie scenicznym, który daje zawsze jednakowo wypracowane i skończone postacie teatralne. Siemaszkowa w pełni przekonywająco grała tylko role, które odpowiadały jej indywidualności, w tych rolach jednak grę jej znamionowała szczególna bezpośredniość przeżycia, szczególna sugestia prawdy i głębi, przechodząca nieraz poza miarę roli, nakreślonej przez autora.

Z natury swego talentu była tragiczką. Nie był to jednak tragizm koturnowy; przemawiał do współczesnego widza szczerością i bezpośredniością wyrazu. Tak właściwości talentu, jak i styl gry predysponowały artystkę do odtwarzania bohaterek Ibsena i grała też ona szereg ról w dramatach norweskiego pisarza w okresie największej jego popularności na scenach polskich. Spośród tych ról jedna zwłaszcza — Helena Alving z „Upiorów“ — była i pewno pozostanie nieprześcignionym osiągnięciem sztuki aktorskiej. Trzciński we wspomnieniu poświęconym pamięci Siemaszkowej mówi o zachwycie, jaki wyraził dla tej kreacji światowej sławy tragik Aleksander Moissi, który miał sposobność grać razem z Siemaszkową w „Upiorach“.

Wanda Siemaszkowa i Marian Jastrzębski w „Niespodziance“ K. H. Rostworowskiego w sezonie 1936/37 w teatrze w Katowicach

Najpiękniejszy okres pracy zmarłej 6-go sierpnia tego roku artystki przypadał na czasy odległe i pod każdym względem dalekie dzisiejszemu pokoleniu: na ostatnie dwudziestolecie przed pierwszą wojną światową, kiedy była kolejno heroiną sceny krakowskiej, warszawskiej, lwowskiej. Po pierwszej wojnie Siemaszkowa rozwinęła dalszą ożywioną działalność artystyczną i także organizacyjną na polu teatru. Pojawiła się szereg razy w eatrach warszawskich, gościła na wielu innych scenach Polski, prowadziła lat kilka teatr bydgoski, wyjeżdżała na występy (lecz tylko w polskim zespole) do Stanów Zjednoczonych, następnie związała się znów na czas jakiś z teatrami lwowskimi. Była niestrudzona; jeszcze po drugiej wojnie witał ją Teatr Słowackiego, wkrótce przerwała jednak występy krakowskie, by dać swoje wielkie nazwisko i doświadczenie małemu i nieznanemu jeszcze Teatrowi Ziemi Rzeszowskiej. Lecz w tych wszystkich wędrówkach, do których może miała skłonność, wyrażało się także jedno: nie było niestety w Polsce teatru, który by mógł i umiał dać wielkiej tragiczce ciągłe i odpowiednie warunki działalności artystycznej.

Sztuka aktorska, która budzi tyle szlachetnych wzruszeń, przemija nieutrwalona. Ale sztuka Wandy Siemaszkowej nie przeminęła tak zupełnie ze zgaśnięciem kinkietów teatralnych. Jej wielkie kreacje weszły w polski teatr, stały się wzorami, które żyją, świadomie i nieświadomie odtwarzane i przetwarzane w nowych postaciach. A Śląsk, który poznał ją późno, zachowa w pamięci piękne przyczynienie się artystki do rozwoju jego kultury teatralnej.

Paweł Rybicki.

Wanda Siemaszkowa w rok później w tymże teatrze w „Grubych rybach“.

Tydzień Katowic

IMPREZY BALETOWE:

18—19.8 Balet Parnella w Teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach. Udział wzięli: Krystyna Groszkówna, Maryna Łapińska, Halina Maniewicz, Krystyna Marynowska, Lucyna Pacuszka, Hanna Stachurska, Antoni Kalinowski, Wł. Milon, Feliks Parnell, Henryk Tomaszewski. Wykonano kompozycje baletowe p. t. „Historia Tańca“. Choreografia: Feliks Parnell. Kierownictwo muzyczne: St. Dzięgielewski. Kostiumy: St. Lipski.

ŻYCIE MUZYCZNE:

20—8 Staraniem Zarządu Oddziału województwa śl.-dąbr. Towarzystwa Przyjaźni polsko-radzieckiej odbył się w teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach wielki koncert Laureatów Międzynarodowego konkursu w Pradze, Solistów Akademickiego Teatru Wielkiego w Moskwie oraz Solistów Opery i Baletu im. Kirowa w Leningradzie. Udział wzięli: Tatiana Nikołajewa, Irena Maslennikowa, Ałła Szelest, Weronika Borysenko, Igor Bezrodny, M. Roztropowicz, Iwan Pietrow, G. Tarmajanc. W części baletowej wystąpili: Rajsa Struczkowa i Aleksander Łapauri. Wykonano utwory Rachmaninowa, Chopina, Gromowa, Rossiniego, Strausa, Szaporina, Czajkowskiego, Glyera, Rimski-Korsakowa, Noskowskiego, Roztropowicza, Kreima, Prokofiewa, Dargomyżskiego, Sołowiewa-Siedoja. Akompaniowali: A. Żak, Ł. Epstein i W. Jampolski.

W następnych numerach „Odry“ rozpoczynamy m. in. dyskusję nad książką Gołubiewa o Bolesławie Chrobrym. Jako pierwszy pisze Zbyszko Bednorz.

Teatr w Olsztynie

Na Ziemiach Odzyskanych tworzą się nowe polskie tradycje teatralne. Uważamy za swój obowiązek informować o tych wysiłkach, choćby one nie przynosiły jeszcze tych rezultatów artystycznych, które tu chcielibyśmy oglądać. Placówka olsztyńska, o której nie wspominają polskie pisma teatralne i literackie, zasługuje na uwagę i pomoc.

Leon Gołębiowski, Irena Maślińska i Przemysław Zieliński w „Musisz być moją“

„Musisz być moją“ kom. w 3 aktach Verneuille'a i gościnny występ Teatru Ziemi Pomorskiej.

Na scenie teatru w Olsztynie niedawno wystąpili gościnnie artyści Teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu ze sztuką L. Verneuille'a „Musisz być moją“. W rolach kobiecych wystąpiły: Irena Maślińska jako Adrianna Thoneret i Alfreda Bayllówna — wykonawczyni roli Róży Pompon. Należy podkreślić skalę uzdolnień I. Maślińskiej, którą przed paru miesiącami oglądaliśmy w kilku poważniejszych rolach. Obecnie zaprezentowała artystka Olsztynowi typ kobiety zakochanej, lecz skłóconej z własnym małżonkiem i używającej wszelkich dopuszczalnych w lekkiej, bo aż o tarsę zatrącającej komedii, fortelów i „sposobików“ kobiecych, by męża na nowo usidlić.

Pana Thoneret, miotającego się bezradnie pomiędzy żoną Adrianną a Różą Pompon — nie szarżując odegrał p. Zieliński. Trójkąt nie byłby trójkątem, gdyby nie było „tego trzeciego“. Młodego człowieka grał Leon Gołębiowski, wkładając w swoją komediową rolę znaczniejszą nawet niż warto — dozę ciepła.

Rolę zapamiętałego karciarza i gracza w ruletkę wykonał Janusz Obidowicz, a M. Hodorska była bardzo fertyczną i zgodną ze stylem lekkiej komedii francuskiej subretką.

Reżyseria Maryny Broniewskiej gruntownie przemyślana..

Wnętrze dobrze zaprojektował Igor Przegrodzki.

Zygmunt Abramowicz.

Do Olsztyna przyjechał nowo mianowany dyrektor artystyczny Teatru Miejskiego im. St. Jaracza, Stanisław Strachocki. Przyjazd dyr. Strachowskiego był oddawna oczekiwany w związku z koniecznością rozpoczęcia prac przygotowawczych do nowego sezonu teatralnego. **Z. A.**

Z życia teatralnego w Szczecinie

Szczecin, wrzesień 1947

Nie darmo gorący okres letni zyskał miano „martwego“ czy „ogórkowego“. Pustoszeją wtedy biura, zmniejsza się gwałtownie ilość wszelkiego rodzaju imprez, łamy prasy tracą swą barwność. Z tych też względów nie wróżono dobrze ruchowi kulturalnemu w Szczecinie w „ogórkowym sezonie“. A jednak te „czarne“ przypuszczenia nie sprawdziły się, przynajmniej w tych rozmiarach, w jakich je wyprorokowano. W tak gorącym przecież miesiącu, jakim był lipiec, odbyły się dwa wieczory literackie, urządzone przez Klub Literacko-Artystyczny — jeden z udziałem wybitnego poety, Grzegorza Timofiejewa, drugi w rocznicę powstania warszawskiego, 1-go sierpnia, przy czym, rzecz ciekawa, frekwencja na tym ostatnim wieczorze była, jak na Szczecin, niebywała. Gorzej nieco było z teatrem, ale tylko w początkach lipca. Wpłynął na to nie tylko niezbyt fortunny wybór sztuki, mianowicie „Milionerki“ Bernarda Shawa — nawiasem mówiąc ostatniej sztuki tegorocznego sezonu teatralnego „Komedii Muzycznej“, — ale przede wszystkim bardzo słabe wykonanie aktorskie tej komedii. „Milionerka“ jest jedną ze słabszych sztuk tego wybitnego komediopisarza angielskiego, poza tym, jak każda sztuka Shawa, wymaga szczególnie inteligentnej interpretacji aktorskiej. Tymczasem aktorzy „Komedii Muzycznej“ zagrali tę sztukę raczej prawem bezwładu kanikularnego, w sposób anemiczny. Nic też dziwnego, że publiczność nie dopisała. Przedstawienie „Milionerki“ było jednak, rzecz szczególna, zjawiskiem wyjątkowym, jeśli chodzi o słabą frekwencję. Potwierdziły to wyraźnie zarówno przedstawienia amatorskiego teatru „STO“, wystawiającego w ciągu lipca i z początkiem sierpnia „Pana Jowialskiego“ Fredry, z niebywałym, jak na ten teatr i wybraną sztuką, powodzeniem — jak i gościnne występy Teatru Polskiego z Poznania, a wkrótce potem artystów warszawskich.

Przedstawienie „Jowialskiego“ nie stało, nawet jak na teatr amatorski na należytym poziomie, niemniej jednak ambitny wysiłek tego zespołu, jak i duży wkład pracy należy powitać z uznaniem. Teatr „STO“ potrafił bowiem dać ponad 20 przedstawień w najtrudniejszym dla życia teatralnego okresie i to po na prawdę niskich cenach, dzięki czemu sztukę tę mogli zobaczyć ci, których nie stać na kupienie drogich bądź co bądź biletów w „Komedii Muzycznej“, czy w teatrach przejezdnych. Powodzenie, jakim się ta sztuka cieszyła wśród szerokich mas, powinno dać dużo do myślenia naszym zawodowym placówkom artystycznym, szczególnie wobec zbliżającego się sezonu teatralnego.

Jeszcze większym i prawie nie notowanym w Szczecinie powodzeniem cieszył się w tym rzekomo ciężkim okresie kanikularnym występ Teatru Poznańskiego, który wystawił dn. 9 i 10 sierpnia operetkę Lehara p. t. „Kraina uśmiechu“. Do powodzenia przyczynił się tu niewątpliwie fakt, że był to w ogóle pierwszy występ operetki w Szczecinie. Ci jednak, którzy szukali w tej operetce tylko „krainy uśmiechu“ zawiedli się nieco, a jeszcze mocniej zawiedli się ci, którzy spodziewali się nieprzeciętnej gry czy wystawnego baletu, lub dekoracji. Poza pięknym śpiewem Witolda Łuczyńskiego oraz niezłą grą aktora, występującego w roli Starszego Eunucha, wszystko inne było namiastką operetki. Szczególnie żenujące były dekoracje oraz zredukowany do dwóch osób balet. Nie przyczyni się to zapewne do popularności zespołu poznańskiego przy dalszych tego rodzaju występach w Szczecinie, a w nas pozostawi wrażenie, że **napływ przelotnych ptaków artystycznych do Szczecina w okresie kanikuły tłumaczy się raczej bliskością nadmorskich wybrzeży kąpielowych i okresem urlopowym samych artystów aniżeli istotną potrzebą takich występów artystycznych.**

Nie można tego powiedzieć o sympatycznych artystach warszawskich, Sawanie i Lidii Wysockiej, których występ w dowcipnej i oryginalnej sztuce Bernarda Shawa pt. „Po co daleko szukać“, sprawił nam dużą satysfakcję. Shaw jest znanym paradoksistą i niemal każda jego sztuka opiera się na założeniu, że nie ma sytuacji i rozwiązań niemożliwych w życiu. W komedii „Po co daleko szukać“ demonstruje nam właśnie, z właściwą sobie błyskotliwością, podobnie paradoksalną sytuację życiową.

Na tym miejscu pragnęlibyśmy zasygnalizować wiadomość, która ucieszy zapewne wielu miłośników szczecińskiego teatru. Oto znakomici artyści warszawscy, których widzieliśmy w sztuce „Po co daleko szukać“, mianowicie p. Sawan i p. Wysocka, pragną osiedlić się w Szczecinie i współpracować stale z „Komedią Muzyczną“. Państwo Sawanowie uzależniają jednak swoje osiedlenie w Szczecinie od otrzymania na własność małego chociażby domku. Nie wątpimy, że nasze władze miejskie, dysponujące przydziałem mieszkań, przyjdą z pomocą tym artystom, pozyskując ich w ten sposób dla życia teatralnego w Szczecinie.

Po Sawanie i Lidii Wysockiej wystąpili w Szczecinie dnia 17-go sierpnia inni artyści warszawscy, mianowicie Helena Grossówna i Antoni Jaksztas w przemiłym „Wieczorze humoru i piosenki“, po czym, w następnych dniach dał kilka występów „Chór Juranda“.

Jak więc widzimy, publiczność szczecińska nie może się uskarżać na brak wrażeń artystycznych w okresie kanikularnym. Przeciwnie, pod pewnym względem kanikuła ta pomogła Szczecinowi.

Tłumny napływ letników do uzdrowisk nadmorskich postawił Szczecin na szlaku kanikularnym, którego artyści ominąć nie mogli i zapewne nie chcieli.

I czyż życie nie jest pełne paradoksów?

Stanisław Telega

Zabawy paryskie

WIECZÓR DRUGI

Paryż, we wrześniu 1947

NAMAWIANO mnie, żebym obejrzał mały Paryż. Małym Paryżem nazywają dzisiaj stolicę francuskiej strefy okupacyjnej Baden-Baden. Mówią tu, że w Baden-Baden wszystko jest po parysku a zwłaszcza życie kulturalne, że Paryż odbija się w wielkich i małych formach tamtejszego życia. Pojechałem. Krajobraz, wywołany pewniejszym, eleganckim niemal gestem Stwórcy; miasto z uporządkowanym bogactwem bujnych drzew — według niemieckich twierdzeń nie zmieniło się. Ale Francuzi mają rację, gdy mówią, że Baden-Baden było, aż po rok 1870 miastem francuskim a teraz staje się nim na nowo.

MOŻNA usiąść w jakiejś kawiarni, chętnie spełniającej trudne dzieło fraternizacji i przy szklance fantazyjnego napoju, odurzającego powoli ale dokładnie, patrzeć się na chodnik podobny do paryskiego, na żołnierzy mknących rowerami przywiezionymi tu po części z Francji, na niemieckie dziewczęta sylabizujące wonną treść estetycznych francuskich afiszów, głoszących przedstawienia i odczyty. Te alkoholika cenniejsze tu są bowiem. Baden-Baden stało się punktem ożywionego życia duchowego, wymiany między Francją a Niemcami, przy czym Francja jest na razie stroną dającą i to dającą obficie ze względów nie tylko prestiżowych. Z Niemców rezyduje tu przede wszystkim Otto Flake, słynny pogromca Nietzschego w Niemczech powojennych. Zaś Alfred Döblin, lekarz berliński i znany ekspresjonistyczny pisarz (są również i przekłady polskie) jest głównym apostołem wymiany. Wrócił tu jako pułkownik armii francuskiej, jest kierownikiem Beauxs Arts w oddziale wychowania rządu wojskowego i wydaje pismo „Das goldene Tor“. Tu pojawia się od niedawna „Die Quelle“, pismo poświęcone teatrowi, filmowi i muzyce, zapełniające liczne swe stronice artykułami francuskimi i niemieckmi (jego francuski krewniak nazywa się „Verger“). Tu w Baden-Baden dyskutują po raz pierwszy emigranci niemieccy, tu tworzy się dzięki francuskiemu wpływowi nowy typ niemieckiego życia kulturalnego, nowa wiara artystyczna.

DLA tych, co to nie samym chlebem żyją, wszystkiego jest tu pod dostatkiem. Szeleszczą czasopisma i gazety w francuskich Messageries de la Presse. Jakież tu bogactwo dobrej publicystyki, dostępne jednak tym tylko Niemcom, którzy posiadają franki. Minął już okres, gdy można było kupować za pieniądze niemieckie. Opuszczających mesażerie z pustymi rękoma czeka jednak miła niespodzianka: mała biblioteka niedawno otwarta, w której można wszystko przeczytać a wkrótce i wypożyczyć, urządzająca obecnie śliczną wystawę bibliofilskich nowości. — Wszelki książkowy luksus został tu pokazany i sprowadzony do małego Paryża przez jego wielkiego brata. Zapamiętujemy Owidiusza z rysunkami Rodina i Antygonę Anouilh'a z drzeworytami Salvata. Na wszystko to rzucają się Niemcy, można zamawiać, bo są to książki, które wyjątkowo kupić można za marki.

ES DE LA PRESSE
Ambicją wydawnictw francuskich jest jak najszybsze zaopatrzenie Baden-Baden w nowości wydawnicze francuskie

I tutaj szepczą o egzystencjaliźmie. Niemcy zastanawiają się poważnie nad możliwościami rozpowszechnienia tej religii literackiej w Niemczech. Sartre'a i Beauvoir'a wyrywają sobie z rąk liczni klienci. Może to są snobi ale gorliwość, z jaką dyskutują potem o tych książkach, w Paryżu dawno już odartych z niezwykłości i świętości, pozwala przypuszczać szczerości.

TEATR francuski zagląda tu często i zawsze wzbudza sensację. Paryska grupa aktorska zwana Compagnie des Dix dała tu przedstawienie „Muchy“, dramat przeklętych Atrydów, dramat losu ludzkiego. Sensacja była podwójna tak ze względu na treść sztuki jak i na aktorów — dwóch to oryginalni Murzyni. Tydzień przed tym gościł w Baden-Baden Charles Dullin. I tak z tygodnia na tydzień wielki Paryż karmi swoje małe dziecko poezją, muzyką i tanecznym gestem, łagodząc w ten sposób ostrość polityki okupacyjnej, zdobywając ten kąt niemiecki dla kultury francuskiej.

Rajmund Pisarski

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik“ Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik“, Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 14457